



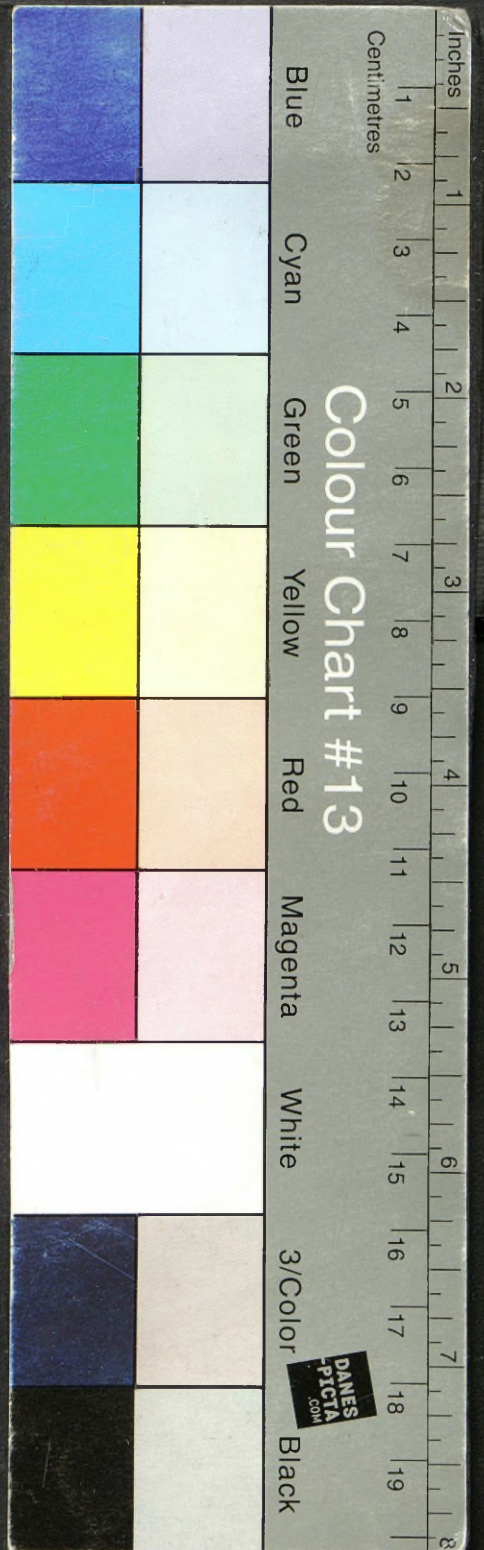
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

# AGITACYA WYBORCZA.

*J. Klumpicki*



AGITACYA  
WYBORCZA.

---

*J. Klempich*

# Wskazówka

systematycznej

# Agitacyi Wyborczej.

Napisał

**Roman Szymański,**

Redaktor „Orędownika“.

**POZNAŃ.**

Nakładem Autora. — Drukiem Jarosława Leitgebra.

1873.



„Aber diese Agitation lebt doch nur von der Gutmüthigkeit des Staates, wir sind heute nicht gewillt, sie weiter fortzusetzen; sie ist zu Ende, wir wissen, was wir dem Staate schuldig sind. (Beifall). Und wenn sie uns jetzt noch der weiteren Anträgen und Klagen zu Gunsten der polnischen Sprache kommen, so werden wir im Gegentheil ihnen mit einer Gesetzesvorlage zu Gunsten der deutschen Sprache entgegen-treten. (Bravo). Es ist für die Eingesessenen ein Bedürfniss, dass sie den Staat, in dem sie leben, aus eigenem Urtheile zu beurtheilen vermögen und nicht auf die kriegerischen Bilder angewiesen werden, die sie aus den Meinungen Anderer, klügerer Leute gewinnen, die ihnen das Deutsche in ihrer eigenen Muttersprache übersetzen. Jeder Staatsbürger muss in die Lage versetzt werden, sich eine Kritik über die Regierung selbst machen zu können, und dazu muss die deutsche Sprache mehr als bisher gefördert werden, und alle unsere Gesetze und Vorlagen werden von dieser Tendenz beseelt werden.“ (*Słowa Kanclerza ks. Bismarka wyrzeczone na sejmie pruskim na posiedzeniu dnia 9 lutego 1872.*)

Zebranie wyborców miasta Poznania, odbyte na wielkiej sali Bazarowej w dniu 30 czerwca r. b., na którym prezes Koła polskiego, p. dr. Henryk Szuman, zdawał sprawę z czynności poselskich, zgromadziło tysiące ludu z wszystkich warstw.

Z zebrania tego, nie zwykle licznego, wynieśliśmy dwie nauki: nasze warstwy średnie i niższe wiadomość o tém, co się na sejmie działo; nasza intelligencya przeświadczenie, że lud miejski i wiejski interesuje się żywo sprawami publicznymi i że warto w tym kierunku gorliwiej jak dotąd popracować. Tę opinią naszej intelligencji wypowiedział *Dziennik* wprost a i *Kuryer* pośrednio.

Na tém samym zebraniu celem rozwinięcia żywej agitacji przedwyborczej zamierzyłem stawić dwie rezolucye, z których tylko jedna przyjętą została, podczas gdy druga z powodu solwowania zgromadzenia wcale przedłożoną nie była.

Pierwsza rezolucya, na zebraniu przyjęta, brzmi:

„Zważywszy, że prawa i rozporządzenia Król. Rządu pruskiego, w ostatnim czasie wydane a odnoszące się do ludności naszej, nie tylko pozbawiają nas praw narodowych — tak z prawa boskiego nam przynależnych, jak traktatami wiedeńskimi i konstytucją państwa poręczonych, — ale nadto zagrażają w swych możliwych następstwach nawet bytowi naszemu;

zebrani wyborcy miasta Poznania w dniu 30 b. m. uznają w radzie, podanej przez posła pana Ignacego *Łyskowskiego*, program obrony narodowej, przepisujący:

ażeby sejm pruski uważać niejako za trybunał, przed którym będziemy co trzy lata od nowa dopominali się przez naszą reprezentacyą sejmową o nasze prawa tak długo, dopóki Król.

Rząd pruski sprawiedliwości nam nie wymierzy.“

Tenor drugiej rezolucyi przesłałem do tutejszych pism: do *Dziennika* i *Kuryera*. Brzmi ona, jak następuje:

„Zważywszy, że obecne położenie ludności polskiej pod zaborem pruskim, powołuje do obrony naszych inte-

resów narodowych wszystkie warstwy, czynny zaś udział tychże a mianowicie ludu miejskiego i wiejskiego zależy od tego, o ile takowy jest z obecnymi stosunkami obeznany;

zważywszy dalej, że do obeznania szerszych warstw ze sprawami publicznymi przyczyniają się najskuteczniej zgromadzenia polityczne, z których ludność nasza stosunkowo niezmiernie mało użytku robiła;

zebrani wyborcy miasta Poznania w dniu 30 b. m. uważają za rzecz niezbędną potrzeby:

ażeby w obecnym czasie przygotowań przedwyborczych zgromadzenia polityczne tak po miastach jak po wsiach jak najliczniej urządzone bywały;

przypomnę sobie wyrazić życzenie:

ażeby wszyscy posłowie tak sejmu pruskiego, jak sejmu niemieckiego zdawali osobiście przed swymi wyborcami sprawę ze swych czynności poselskich.“

Poznań, 30 czerwca.

Obie rezolucje zdjęte są z przewodniej myśli „Sprawozdania“ posła Ignacego *Łyskowskiego* i tak są złożone, że pierwsza nabiera znaczenia tak teoretycznie jak praktycznie dopiero przez drugą. Przez zrealizowanie myśli wyrażonej w drugiej rezolucji możemy dopiero wykonać rzeczywisty program obrony narodowej, objęty rezolucją pierwszą. Obie więc rezolucje, jak to każdy na pierwszy rzut oka poznać może, stanowią w sobie nierozdzielalną całość, są nawzajem od siebie zależne. Tymczasem stało się, że skutkiem rychłego solwowania zebrania została przyjęta tylko pierwsza rezolucya, a druga, która myśl tamtęj uzupełnia, nie mogła być nawet przedłożoną, — i tak powzięliśmy w sprawie bardzo wielkiej wagi uchwałę niekompletną, bez dostatecznego i wszech-

stronnego jój zbadania. Przyzna mi bowiem każdy, że rezolucya pierwsza, sama w sobie postawiona, jest goło-brzmiącym słowem, na którym poprzestawać się nie godzi. Bez połączenia jój z rezolucją drugą jest ona czczym frazesem, co najwięcej projektem ponętym, bo tytuł „programu obrony narodowej“ brzmi wcale ładnie; mieści w sobie cel wzniosły, zakreśla działanie szerokie, czém umysły nasze łatwo przekupić. Otóż gdy odjętą mi była na zebraniu rzezonóm sposobność do przedstawienia i unotywowania rezolucyi drugiej, aby w niój wskazać, w jaki to sposób proponowany przez posła Ign. Łyskowskiego program obrony narodowej przeprowadzić można, zwracam obecnie uwagę na to, że taki program dopiero wtedy może nabrać racjonalnej podstawy, gdy społeczność, stawiając sobie jasno zadanie swój zbiorowej obrony, równocześnie rozpatrzy się w środkach swoich i zda sobie sprawę, czy jest w nie dostatecznie wyposażona do dopięcia swego celu. Samo uchwalenie rezolucyi pierwszej niczém jeszcze nie jest i stać się może dopiero wtedy czémś jasnym, zrozumiałym i praktycznym, gdy myśl rezolucyi drugiej znajdzie równocześnie w opinii powszechnej uznanie i poparcie. Ponieważ rezolucyi drugiej tylko brzmienie bez bliższych motywów dostało się przez pisma do wiadomości publicznej, przeto na téj drodze podaję jój motywa w téj nadziei, że zostaną przez publiczność naszą wzięte pod głębszą rozwagę.

## I.

Program nieustającej obrony narodowej przeciw bezwzględnemu postępowaniu rządu z nami, wynikający naturalnym następstwem z obecnego położenia naszego, może mieć tylko wtedy jakiegokolwiek rozsądne znaczenie, jeżeli obejmie całą społeczność. Przeprowadzenie téż jego jest możliwe jedynie pod warunkiem, że znajdzie ogólne, spon-

taniczne, świadome i wytrwałe poparcie całej ludności naszej, a więc przedewszystkiem ludu miejskiego i wiejskiego, który przy wyborach rozstrzyga. Bez tego warunku wszelkie usiłowania w kierunku tym muszą się rozbijać i przejść w dziedzinę mrzonek politycznych. Być może, że pod wpływem pierwszych wrażeń nasze zamożniejsze i światlejsze klasy wyteżą tyle mocy, że pociągną za sobą średnie i niższe warstwy, jeżeli jednakowoż te nie będą się same poczuwały do swych obowiązków publicznych, to ostatecznie siła tamtych się zużyje. Sztucznie podtrzymywanemi wysileniami możemy się długo utrzymywać w legalnej opozycji przeciw rządowi, — w końcu jednak ustaniemy sami. Jeżeli ta opozycja ma być trwałą i stanowić przez to nieustającą obronę naszych praw narodowych, to musi być przedewszystkiem prawdą, to jest, musi istnieć w każdej jednostce naszej społeczności. Jeżeli petycyje nasze wysyłane do sejmu mają mieć dla nas wartość, to ludzie, co je podpisują i wysyłają, muszą być w rzeczy samej świadomi tego, o co się w petycyjach dopominają, z jakich powodów i w jakich warunkach o to się domagają. Jeżeli nasi posłowie, zabierający głos w obronie praw naszych, mają być naszymi rzeczywistymi reprezentantami — *personae sacrosanctae*, których charakterowi narodowemu i politycznemu ubliżać nie wolno — to muszą oni czuć w sobie lud, a lud — wyborcy — musi czuć w sobie posłów. Posłowie, nie czujący w sobie ludu, nie mogą odpowiedzieć w pełnym znaczeniu tego wyrazu jego zaufaniu; wyborcy, nie czujący w sobie posłów, zawo-  
dzą tychże, bo poparcie, jakie im dają, jest tylko formalnym, illuzyjnym, nie ma w sobie dostatecznego funduszu moralnego. Ten ścisły związek politycznego pokrewieństwa musi być rzeczywiście prawdą, — która jest życiem, — jeżeli nieustająca obrona narodowa ma być także prawdziwą, to jest źródłem naszego istnienia. I dla tego też w dalszym następstwie rzeczy warunkiem téj obrony,

jak się wyżej rzekło, jest spontaniczne, świadome jój poparcie przez cały ogół ludności naszej.

Zapatrując się z tego stanowiska na program obrony narodowej, tak jędrnie określony przez szanownego posła Ign. *Łyskowskiego* a na rzezoném zebraniu w sali Bazarowej oklaskami przyjęty, winniśmy sobie stawić z praktycznego względu pytanie kardynalne: czy jesteśmy przygotowani do nieustającej obrony narodowości naszej w tych rozmiarach, w jakich jest zaatakowana?

Co się tego tyczy, moje indywidualne przekonanie jest: że nie jesteśmy dostatecznie przygotowani. Mam nawet to przekonanie, o ile wolno mi powoływać się na własną obserwacyą naszych stósunków, że społeczność nasza nie jest dostatecznie przygotowaną ani w swych niższych warstwach, które dotąd przedstawiały albo żaden, albo bardzo wątki element polityczny, ani też nawet w wyższych, intelligentnych klasach, — zbiorowo wziętych, — które dotąd były i są jedynym naszym politycznym czynnikiem. Jeżeli to jest prawdą, — o czem ja osobiście jestem głęboko przekonany, bo nie miałem szczęścia dopatrzeć się takich objawów, któreby wyrobiły wemnie inną opinią, — to społeczność nasza znajdowałaby się obecnie w bardzo fatalném położeniu, które dałoby się wyrazić w następującym dylemacie. Albo społeczność nasza, niedostatecznie przygotowana, przeszedłszy przez rozmaite fazy na pół szczerych, na pół złudnych usiłowań, opuściwszy zmęczone ręce i zdając się na łaskę losu, zmarnieje, — co, szczerze mówiąc, jest dość podłą formą śmierci wszelkiego istnienia ludzkiego czy pojedynczego, czy zbiorowego; — albo też, będąc świadomą swych słabych sił w walce, do której ją gwałtem wciągają, będzie, walcząc, śród walki samej swe siły wzmacniała i zwolna z stanu nieprzygotowania przechodziła do stanu przygotowanego, — co znowu jest najtrudniejszą

formą — ale nie bez nadziei — obrony istnienia narodowego. Przy takim położeniu rzeczy czekałby nas albo bardzo nędzny los, albo też w każdym razie ciężki trud i znój. Możliwy także przypadek, że nie opuścimy rąk i nie zdamy się na łaskę losu, ale walczyć będziemy i na polu walki ulegniemy. Takie przypuszczenie uważam wszakże za niemożliwe a to dla tego, że podzielam z p. Ign. Łyskowskim tę wiarę, która narodu naszego od czasu upadku politycznego ani na chwilę dotąd nie opuściła, że naród, który chce i umie się bronić, zginąć nie może.

Należy wszakże uzasadnić wyżej wyrzeczone twierdzenie: że nie jesteśmy dostatecznie przygotowani do walki, którą nam germanizm wypowieda.

Obecna sytuacja nasza jest jasną. Prąd, który w nas bije, nie poprzestaje na pozbawianiu nas praw narodowych, ale dąży wyraźnie, bo bezwzględnie prawie, do wytepienia pierwiastku polskiego. Rząd pruski daje wyraźnie do zrozumienia, że zamiarem jego jest oczyszczenie trzech zachodnich prowincyi państwa z żywiołu polskiego. Jeżeliby prawdą było, że jesteśmy przygotowani do odparcia tego prądu, to owo uderzenie siły rządu o naszą społeczność, — które dziś już jest faktem, — powinno w naturalnym następstwie skutku po faktycznej przyczynie wywołać w tych klasach, które stanowią nasz czynnik polityczny, zgodny i jednolity ruch w kierunku obrony. Taki objaw jest postulatem żelaznej logiki życia. A tego właśnie postulatu w życiu naszym nie widzimy. Co więc! W miejsce tego postulatu, którego nie ma, widzimy objawy, których istota jest owemu postulatowi przeciwną, to jest ruch zamieszany niezgodą wewnętrzną i obronę naszą obezwładniający. Ten ruch zamieszany niezgodą wewnętrzną jest faktem, co gorsza, rozrósł się w naszej społeczności w bardzo opłakane następstwa i nie da się inaczej wytłomaczyć, jak brakiem

przygotowania w tych klasach, które zowiemy intelligen-  
cją, do sytuacji, jaką nam ks. Bismark zgotował.

Jeszcze jedno spostrzenie więcj na uzasadnienie po-  
wyższego twierdzenia. Kto się z jakim takim zmysłem  
obserwacyjnym przypatruje naszej postawie, jaką zajmu-  
jemy od czasu nowego ekstyrpacyjnego systemu względem  
naszej ludności, zapowiedzianego przez ks. Bismarka na pa-  
miętnj sescji sejmowj z dnia 9 lutego 1872 r, ten  
spoztrzeze, że nasza postawa jest bierną. W pierwszj  
chwili zapowiedzi tego systemu nie umieliśmy wcale zdać  
sobie sprawy z słów kanclerza niemieckiego; nie przewidywa-  
liśmy także ani natury, ani tendencji těj zapowiedzi  
a o rozmiarach, jakie ten zapowiedziany system przy-  
bierze, nie mieliśmy najmniejszego przeczucia. Kto nie  
wierzy temu, niechaj zajrzy do ówczesnych artykułów  
naszj prasy. Wiec w Hotelu Saskim w Poznaniu, jako  
też pięć innych wieców odbytych na prowincyi w Ko-  
strzynie, w Gostyniu, w Miłosławiu, Ostrzeszowie i Kwil-  
czu, protestujące przeciw tendencji twierdzeń ks. Bismarka,  
dokonane zostały w brew opinii powszechnj. Były one  
objawami sporadycznymi, niepoparte uznaniem i głosem  
ogółu. Do rozpoznania naszj sytuacji przychodziliśmy  
zwolna, stopniowo, w miarę tego, jak na sejmie przechodziły  
prawa przeciw nam uchwalane i po prowincyach rozecho-  
dziły się rozporządzenia rejencyjne, które nam niejako  
znać dawały o nieprzyjacielu,—ale wtedy już on się znaj-  
dował w naszym obozie. Spoztrzegaliśmy i spoztrzegamy  
dotąd jeszcze niebezpieczeństwo, ale dopiero w těj chwili,  
kiedy nam już dachy nad głowami pałą. Dla tego też  
cała postawa naszj zbiorowj obrony, jeżeli o tem mówić  
można, jest natury biernj; wprzódy musimy być zaata-  
kowani i dopiero wołamy: do broni! Nasza myśl zbiorowa  
nie szpieguje ruchów nieprzyjaciela i mało też o nich wiemy.

Tą też biernością jedynie da się wytłómaczyć owa  
nieszczęsna i fatalna walka między stronnictwami tak zwa-

nych „liberałów“ i „ultramontanów,“ która w chwili, kiedy się trzeba zbierać, rozbija nas na obozy. W chwilach, kiedy cała nasza społeczność winna była zgodną przybrać postawę do obrony interesów narodowych, rozszedł się wśród nas popłoch, któremu niestety to, co się u nas nazywa intelligencyą, wiarę dawało, że wśród nas znajduje się stromniectwo ludzi dla interesów narodowych obojętnych, a nawet gotowych poświęcić je dla innych. Była to fatalna aberacya, która nam wszystkim, bez względu na różnice przekonań i zasad, bardzo zaszkodziła. Jakże wytłomaczyć sobie tę aberacyą, w którą zapewne nikt z nas popaść niechciał a w którą przecież obywatelstwo nasze mimo swój wiedzy i woli przez rozmaite wpływy wciągnięte zostało? Nie inaczej, jak tylko tem, że nasza intelligencya, jak mówimy od pewnego czasu, to jest obywatelstwo wiejskie, nie rozumiało i nie rozumie dotąd obecnej sytuacji.

Dziś mamy niezgodę w domu, toczącą walkę pozornie o zabezpieczenie najdroższych skarbów narodowych, walkę, która nas rozdziera na dwa przeciwne obozy. Ogół naszego obywatelstwo — bo ono jest tu rostrzygającym — bierze ją niewątpliwie w szczerém i szlachetném poczuciu. Atoli ludzie bliżej téj walki stojący, w tajemniczeni w jój arkana, żywioły i sprężyny, wiedzą aż nadto dobrze, że tłem, na którem się walka toczy, nie są owe najdroższe interesa narodowe, ale w jednej części osobiste nieporozumienia lub niechęci a w pewnej części także nędzne intrygi, które jak mówi psalmista Pański, jako niecnota włóczą się między nami bezwstydnie. Z tych powodów musimy patrzeć na tak dziwne zjawiska w naszej opinii publicznej, jak że obecną walkę historyczną, jaką rząd pruski wypowiedział Kościołowi katolickiemu, interesującą całą prawie Europę i stanowiącą epokę w jój dziejach, czy taki lub owaki będzie jój koniec, opinia nasza w swój małoduszności chciała koniecznie zredukować na *minimum* i przedstawić ją, jako zostającą w związku jedynie z duchownym Naczel-

nikiem naszej archidiecezyi i z kilku jeszcze wpływowymi kapłanami. I to jest dowodem, żeśmy się na dążność polityki pruskiej, biorącój nas już w swe objęcia, fałszywie zapatrywali. A to mylne zapatrywanie sięgało tak daleko, żeśmy uważali za rzecz zdrożną, gdy się starano u nas o założenie organu publicznego dla sprawy przez nas nie dość uznawanój a nawet poniekąd lekceważonój. W téj chwili dopiero, kiedy piszę te słowa, widać w naszej prasie szczerze jednolite zapatrywanie na sprawę Kościoła, w tym punkcie przynajmniej, że wszystkie dzienniki wzywają do podpisywania petycyi o przywróceniu nauki religii w wyższych zakładach. Ale też trzeba było, żeby nam Rejencya w wszystkich miastach, gdzie są wyższe zakłady, pozносиła wprzódy lekcye religii i księżom uczącym jój prywatnie zagroziła 50 tal. grzywien — lub więzieniem. Uczuliśmy i to wtedy, kiedy nas naciśnięto, a przecież już dawniej mogliśmy wszyscy dobrze wiedzieć, jakimi słakami pociągają prawa i rozporządzenia rządowe, i oszczędzić sobie tyle krwawój kłótni domowój, — krwawój, powtarzam, bo choć się walka nie na bagnety toczy, błędy naszego zbiorowego postępowania opłacimy i tak krwią serdeczną i ciałem naszej społeczności. Jakże, pytam, wytłomaczyć sobie podobne objawy?

W ciągu ostatnich lat trzech tak brzemiennych w ważne dla nas wypadki oprócz powyższego znany mi jest jeden tylko objaw i to rychlejszy, który dowodzi, że byli między nami pewni ludzie, co mieli jasne pojęcie o tém, na co się zanosi, i dali temu w pewnym, jednostronnym kierunku wyraz publiczny. Są to autorowie czterech punktów kościańskich. — Jedyni wśród całej społeczności! A żeby wszakże czasem kto nie myślał, że chcę tu koniecznie bronić tak zwanych „ultramontanów“ oświadczam przeto, że uważam za fałszywą, grzeszną i zgubną wyłamywanie się w jakiejbądź formie z zbiorowój solidarności, którą równie z innymi uznaję za kar-

dynałny warunek naszej obrony, pojmując ją wszakże nie w obłudnym i złudnym frazesie, ale w prawdzie i w szczerości akcyi. Inicytorowie czterech punktów kościańskich wzięli się niezręcznie do dzieła i nie nie uprawniało ich do przenoszenia swych przekonań z okręgu Kościańskiego na całe Księstwo, bo podczas akcyi wyborczej znaczyło to tyle, co rozbięcie i stało się rozbięciem. Mogą oni wprawdzie przytoczyć ważne powody na uzasadnienie swego postępowania, — bo taki powód im dano, — postawienie kandydatury p. Kraszewskiego było nierozważne i nieszczęśliwe, a jój uzasadnianie z stanowiska rozdartój Ojczyzny wprost nonsensem — atoli gdy skutki jego były nieuniknione i jasne co do swój natury, żadne powody nie mogą ich uniewinnić. Mnie wszakże nie chodzi o to, żeby wydawać sąd o stósowném lub niestósowném wystąpieniu autorów czterech punktów Kościańskich, lecz o to, by podnieść ten fakt, że autorowie tych punktów byli jedyni ludzie, którzy *signa temporis* ze względu na przyszłość Kościoła pojęli, którzy mieli jasne pojęcie o tém, co się w świecie dzieje i na co się zanieść może. Usługi obrony publiczystycznej ci panowie nie potrzebują, bo, że mieli słusność po swój stronie, tego faktu dowodzą. Niechaj namiętność mówi, co chce, rozsądny, choćby się i z nimi nie zgadzał, będzie miał zawsze dla nich szacunek, jako dla ludzi głębiój myślących. W owym czasie politycznie myślącymi byli oni jedyni między nami.

A jakiż był skutek ich słusznego zapatrywania? Oto ich wystąpienie było początkiem wojny domowój. Ludzi, którzy jedyni u nas jasno rzeczy w pewnym kierunku widzieli, odsądziła pewna część publiczności naszej nieledwie od czci i wiary. Przestraszający to objaw. Marcinkowskiego podkopywała w r. 1846 emigracya, Wielopolskiego czerwoni, ludzie uczciwych chęci, ale krótkiego rozumu. Ile razy się podniesie głos rozsądku, zawsze fałszywie pojmujący się patryotyzm, a czasami niestety tylko

pozór patryotyzmu, występuje przeciw niemu, przekrzyczy i przygłuszy go. Tak bywało dawniej, tak jeszcze i dzisiaj. Jesteśmy niepoprawni; niczego nie zapominamy, niczego nie uczymy się — zawsze jedni i ci sami. Brzemie żywota, jakie niewola na nas włożyła, cięższe jest, aniżeli mu nasz rozum polityczny sprostać zdoła. Ztąd ustawiczna partyzantka i nigdy nie możemy się doczekać pracy organicznej, systematycznie prowadzonej. Siły zbrojne, miasto się organizować, rwą się i rozchodzą nieładem, — i tak się łamie społeczność nasza bez względu na to, że jój ks. Bismark i tak gotuje łoże Prokusta.

Że pewna część obywatelstwa naszego czuła fałszywe tony w opinii powszechniej, że przewidywała, iż nasza społeczność w tych brzemiennych czasach dostaje się nieznacznie na powierzchnię pochyłą i dojsć może do fatalnych następstw, dowodem założenie organu, który miał być jego publicznym wyrazem z tendencją godzenia zwaśnionych elementów i zorganizowania obrony zagrożonych interesów tak Kościoła jak narodowości. *Pro fide et patria!* — za Wiarę i za Ojczyznę! — takie było hasło śp. *Gazety Wielkopolskiej*, powołanej do życia przez najczcigodniejsze i najzasłużeńsze obywatelstwo Księstwa. Ale *Gazeta Wielkopolska* niosąc społeczności naszej „oliwną różeczkę zgody“, przyniosła także z sobą na świat zaród śmierci. Mimo licznego grona ludzi, co umieli maczać pióra w kałamarzu, skończyła — a z jój upadkiem wszelkie zachody i nadzieje tego elementu obywatelstwa naszego, o który społeczność chyląca się miała się oprzeć, spełzły na niczem. Jeżeli kto później stawi sobie za zadanie zbadać gruntownie nasz stan obecny, będzie musiał udać się do grobowca tego organu, zdjąć wieko z niego i skalpelem krytyki otworzyć jego wnętrze, ażeby i tu szukać przyczyny, dla czego u nas wszelkie szlachetne usiłowania, pragnące powstrzymać naszą biedną społeczność od zupełnego rozbicia, tak bezskutecznie konały. W każdym razie

znajdzie on tam zupełnie coś innego — aniżeli ślady otrucia *Gazety Wiel.* przez „ultramontanów“, w co u nas ludzie do dziś dnia wierzą.

Nie mieliśmy wśród siebie jasnego poglądu na rzeczy do tego stopnia, że uderzenie nowozapowiedzianego systemu rządowego o naszą społeczność już zaczęło w nas reago-  
wać, a myśmy jeszcze nie wiedzieli, co się z nami dzieje, i objawy téj reakcyi odnosiliśmy do zupełnie innych przy-  
czyn, tylko nie do tego, co było prawdziwą przyczyną. Taką reakcyą, rozbijającą dalej naszą społeczność, było zajście w Kole polskiem sejmu niemieckiego między jego prezesem p. dr. Niegolewskim a posłem Krotoszyńskim, p. Henrykiem Krzyżanowskim. Ks. Bismark stawiał prawo przeciw Jezuitom — i upiekł przy tem dwie pieczenie: Jezui-  
tów wyrzucił a nas Polaków rozbił. Ks. Bismark mało się zapewne troszczył o to, czy my w zgodzie żyjemy lub nie, ale dla nas było to kwestyą ważną. Zamiaru rozbija-  
nia nas przy okazji wyrzucania Jezuitów zapewne nie miał, ale poznali się na tem jego zwolennicy tu w Po-  
znaniu i ciągnęli wodę na jego młyn. Owo zajście bowiem w Kole polskiem z swemi bezpośrednimi następstwami odsłoniło naszą słabą stronę i znaleźli się tacy, może przekupieni, może téż i nie, może ludzie z naszego wła-  
snego domu, może téż i obcy, którzy kontynuowali dalej owe osławione korespondencye poznańskie do *Kraju*. Ztam-  
tąd przechodziły one — nieledwie odwrotną pocztą — do tutejszój *Posener Ztg* w owym właśnie czasie, kiedy do jej redakcyi powołano na kilkanaście tygodni niejakiego p. Albina *Kohna*, Sybiraka — literata, w niektórych tutej-  
szych kołach polskich dobrze zaakredytowanego i pra-  
wdopodobnie mającego wpływ w tym kierunku na reda-  
kcyą *Posener Ztg*, jak mi o tém wyraźnie osobiście mówił p. *Oelschlaeger*, Niemiec otwarty, długoletni współpracownik tegoż pisma. Z *Posener Ztg* przechodziły te ohy-  
dne paszkwile do pism berlińskich, wrocławskich, a mia-



nowicie do *Nordd. Allg. Ztg.* Sam rozmawiałem z ludźmi, którzy nie czując tego, ulegali mimowoli wpływowi tych korespondencyi, zamącali sobie pojęcia, pomijając już tych, którym one rozkosz sprawiały i którzy propagowali je na innych drogach. Przy pomocy tak nikezemnych środków pracowano na wszelkich możliwych punktach, aby tylko publiczności naszej, jej intelligentnej części, utrudnić wyrobienie sobie jasnego poglądu na sytuacyą.

Uwikłani w fałszywe pojęcia nie mogliśmy zrozumieć znaczenia sporu wybuchłego w Kole polskiem. Żywo stoi mi jeszcze w pamięci ów zas, jak dość znaczne roznamiętnienie prowadziło ludzi nieledwie do zaślepienia i rodziło najfałszywsze wyobrażenia. Ludzie, którzy może na tercyci swe nauki kończyli, ale dla materyalnego stanowiska liczą się u nas do tak zwanój intelligencyi, brali żywy udział w owoczesnych sporach. Gdyś się jednak z nimi zadał w rozmowę, spostrzegłś po kilku zdaniach, że cały ich udział w sprawach publicznych, do których rościli sobie nie małe pretensye, polegał na tem: że Jezuiaci są obłudnikami, że zgubili Polskę, *ergo* oni są przeciw „ultramontanom.“ Nieraz w prywatnej rozmowie z podobną intelligencyą zwracałem uwagę na to i starałem się dowodzić: że w całej tój sprawie najmniej o Jezuitów chodzi, że Jezuiaci dostali się prawie tylko mimochodem pod stępy, które założono nie na nich, ale na podstawy instytucyi Kościoła i fundamenta naszej narodowości; — wszystko było nadaremne — *barbarus fui.* Mimo prawie już zupełnie rozjaśnionej sytuacji nie chcieliśmy zrozumieć tego, co napisał p. Henryk Krzyżanowski w swój odezwie do wyborców z dnia 30 maja 1872 r., publikowanej w *Kuryerze* i *Orędowniku*, gdzie wyraźnie mówi: że żądał obrony Jezuitów nie dla jakichś zacofanych wyobrażeń, nie dla tego, ażeby zaprzedać społeczność naszą ks. Arcybiskupowi lub ks. Koźmianowi, lecz dla tego, iż obserwując sytuacyą, spostrzegł: „że zamach na Jezuitów wstrząsa całą pod-

stawą prawną dotychczasową Kościoła katolickiego, a podawszy takową jako rzecz sporną, — czyż można wiedzieć, jak daleko się posunie? Nareszcie — pisze dalej — wieje prąd wyraźnie nieprzyjazny katolicyzmowi w sferach parlamentowych. Przedstawiają go jako straszego wroga i zaporę rozwoju cesarstwa niemieckiego, na którego trzeba praw wyjątkowych. Państwo potężne, w swój większości protestanckie, z milionową armią i całym aparatem praw karnych i urzędów policyjnych, czyż istotnie może dla swego bezpieczeństwa potrzebować takich środków przeciw społeczeństwu katolickiemu i kilkuset zakonnikom w kraju, gdzie tak zakonnik i duchowny, jak świecki, nie ma *immunitatem* i ulega prawu ogólnemu karnemu tam, gdzie je przekroczył? Jestże to zaślepienie i przesąd, czyli téż taktyka do tak zwanéj zupełnéj asymilacyi różnorodnych żywiołów pod względem politycznym? ...Ze stanowiska politycznego uważam, iż to jest zamach na prawo stowarzyszeń zagwarantowane konstytucją pruską. Wyłom raz zrobiony, pociągnie za sobą skutki szkodliwe i dla innych stronnictw pod względem ogólnéj wolności. Nigdy aż dotąd, bezkarnie się z ideą wolności nie igrało!“

Pan Krzyżanowski wyraźnie tam powiada, że rząd, który z całą siłą rzuca się na 200 Jezuitów, musi mieć coś innego na myśli, aniżeli Jezuitów samych; że rząd, który w ten sposób druzgocze wolność religijną, lada chwilę może przenieść swe zapędy na pole polityczne; że pod rządem, który stawia całą instytucją, obejmującą 7 milionów dusz, nagle pod prawa wyjątkowe bez dostatecznego powodu, może także bez powodu stawić w stan wyjątkowy 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona obcego w swych państwowych granicach żywiołu, to jest ludność polską. To było myślą przewodnią posła Krotoszyńskiego, gdy się w Kole polskiém domagał od swych kolegów zajęcia od razu takiego stanowiska przy sprawie Jezuitów, ażeby z niego można

bronić nie tylko Jezuitów, ale Kościoła i narodowości naszej, — dla których już wtedy nie było żadnej prawnej rękojmi.

Dzisiaj poseł Krotoszyński nie potrzebuje zapewne obrony publicznej, bo i za nim — niestety — mówią fakta. Pozwolę sobie tylko na to zwrócić uwagę, że Jego Mość Cesarz niemiecki i Król pruski ofiarował nie dawno temu znaczne fundusze na zbudowanie teatru niemieckiego w Poznaniu z warunkiem, aby polskie towarzystwo dramatyczne nie dawało w nim polskich przedstawień, chyba tylko za osobnym zezwoleniem Naczelnego Prezesa! A w chwili, kiedy to piszę, rozechodzi się wieść po Poznaniu, że jednego z wysokich urzędników rejencyjnych, Polaka, przenoszą do Westfalii, jednego zaś z etatowych nauczycieli gimnazjum św. Maryi Magdaleny gdzieś nad Ren. Pytam teraz tych, którzy pragną szczerze zbiorowej obrony naszych interesów a w owym czasie przeciwnego byli zdania od posła Krotoszyńskiego: czy nie miał słuszności, gdy ostrzegał, że owa ekspedycja parlamentarna na Jezuitów to tylko taktyka do tak zwanej zupełnej asymilacji różnorodnych żywiołów pod względem politycznym, — że wyłom raz zrobiony pociągnie za sobą skutki szkodliwe i dla innych stronnictw, instytucji — a więc i dla narodowości polskiej — pod względem wolności?

Bądźmy sumiennymi i oddajmy dzisiaj przynajmniej prawdzie cześć.

Takie się rzeczy u nas wydarzały; pytam więc, czy one dowodzą, iż nasze wyższe klasy miały jasne pojęcie o sytuacji i były jakkolwiek na nią przygotowane?

Co do mnie, stanowisko, z jakiego się wówczas poseł Krotoszyński zapatrywał na położenie rzeczy, było rozstrzygającym. Odtąd przeszedłem stanowczo i jak sobie śmiem pochlebiać, z całą świadomością sytuacji, do tak zwanego u nas obozu „ultramontanów.“ Tę stanowczość zrozumiała *Posener Ztg* i obdarzyła mnie komplementem:

„*Seitdem der Oredownik unter die ultramontanen Propheten gegangen ist, hat er alle Logig verloren.*“ Przykro mi było tylko, że wielu ziomków moich podzielało tę opinią.

Przeszedłem do tak zwanego obozu „ultramontanów“ stanowczo, bom przyszedł do przekonania, że sytuacja stoi już na tym punkcie, iż lawirować albo półśrodkami się posługiwać nie można. W stanowczych chwilach trzeba stanowczej decyzji. Nasz „ultramontanizm“ w W. Księstwie nie szkodził w niczem sprawie narodowej, nie mógł też kompromitować żadnego sojuszu. Położenie zaś było i jest takie, że gwałciło nieledwie do równoczesnej obrony i Kościoła i narodowości. Wielu z tych, co osławiali jasną i stanowczą obronę Kościoła, przyjdzie jeszcze do uznania, że nie pozostaje nic innego, jak tylko godzić się i łączyć z tymi, których sami nazywali „ultramontanami.“

Przeszedłem stanowczo do obozu tak zwanych „ultramontanów“, bo przyszedłem do przekonania, że tylko na tej drodze można przyjść do skupienia wszystkich sił naszych do obrony zagrożonej zewsząd narodowości naszej. Nie względy „jezuickie“, nie względy „ultramontańskie“, które to pojęcia starano się u nas w ohydę podać, ale względy narodowe były tu rozstrzygającymi.

W całej tej walce rząd pruski kładł i kładzie główny i większy przycisk na uciemnienie Kościoła, aniżeli na wytępienie narodowości naszej. Pierwsze jest dla celów jego polityki kwestyą od drugiego ważniejszą. Wobec Kościoła wystąpił on też jasno z systemem całego szeregu praw; przeciw naszej narodowości osobnych praw nie stanowił. Nie potrzebował on tego czynić, bo stósunki tak były ułożone, że stanowiąc prawa przeciw Kościołowi, podcinał tém samym korzenie narodowości naszej. Przeciw nam nie stawiał rząd systemu praw organicznie z sobą związanych, jak przeciw instytucji Kościoła, ale mimo to był i jest system w jego polityce,

w całym jego postępowaniu, w jego rozporządzeniach ministerjalnych, rejencyjnych. I gdy się pokazało, że na polu religijném z tą śmiałością niszczo no wolność, że się posunięto aż do tendencyjnej zmiany dwóch artykułów konstytucyi — rzecz znana tylko w czasach rewolucyjnych — można się było spodziewać, że ten sam prąd rewolucyjno-bürzący, jak nas dość wczesnie ostrzegał poseł Krotoszyński, zwróci się także przeciw narodowości polskiej. Kto więc u nas chciał ratować narodowość, temu sama postawa rządu pruskiego nakazywała szukać sojuszu z własnymi „ultramontanami.“ Leżało to w żelaznej logice stósunków.

Przeszedłem stanowczo do obozu „ultramontanów“, bo jako publicysta miałem obowiązek obserwować wypadki, a te, które się w owym czasie przesunęły, były tego rodzaju, że z wszelkich miar nakazywały szeregowanie wszystkich sił, czego kardynalnym warunkiem była zgoda w domu własnym. Mowa ks. Bismarka, powiedziana w sejmie pruskim dnia 9 lutego 1872 r., była nie czém inném, jest tylko programem ekstyrpacyi naszego plemienia. Trzeba było w owym czasie obserwować bacznie prasę niemiecką, ażeby zrozumieć, że słowa te nie były igraszką słów, lub czezą pogrózką. Wieca protestującego przeciw twierdzeniom ks. Bismarka, który się odbył 23 lutego r. z. w Poznaniu, z palca nie wyssałem, ani też nie zwoływałem go przez naśladownictwo, lecz w silném przeświadczeniu, że w obec wystąpienia ówczesnego prezesa ministerstwa pruskiego ludowi polskiemu nie wolno było milczeć. Na cztery już miesiące przed wystąpieniem ks. Bismarka cała prasa niemiecka na wschodniej granicy monarchii pruskiej, niezawodnie naprzód poinformowana, ni stąd ni zowąd rzuciła się na nas w obszernych artykułach, feletonach, w drobnych wiadomościach potocznych z niepojętą namiętnością. Nie były to zwyczajne, pobieżne i powierzchowne, ale głęboko obmyślane i z pewną systematycznością umieszczane

artykuły, które każdego mogły naprowadzić na domysł, że się przypadkiem w wschodniej prasie niemieckiej nie pojawiają. Trudno było sobie wytłomaczyć, co znaczyć miały te ciężkie chmury, zaciągające nad nami z owej strony, co miało znaczyć to stawianie się frontem opinii niemieckiej przeciwko nam. To rozjaśniło wystąpienie ks. Bismarka w sejmie. Mowa jego była sygnałem dla żywiołów, które się już wprzód przeciw nam gromadziły; była ona strzałem armatnim, dającym hasło do boju. Na drogę tej obserwacji naszych stosunków nie wszedłem także ślepym trafem, ale byłem na nią naprzód przygotowany. Ważny i wielki wypadek dni naszych, jak powstanie cesarstwa niemieckiego na ruinie cesarstwa francuskiego nie mógł być dla nikogo obojętnym. Każdy myślący pomiędzy nami miał wszelki powód uważać bacznie na każdy ruch pojawiający się w następstwie tego politycznego wypadku, o ile on się do naszej społeczności odnosić może, i myśleć zawczasu, ażeby sprawa nasza na jaki szwank nie była wystawioną. Myśl ta nie była mi obcą już w tej chwili, kiedy się ów polityczny wypadek dokonywał. Na początku grudnia r. 1870, kiedy zwycięzka armia niemiecka po katastrofie sedańskiej stała przed mężnie broniącym się Paryżem a polityk krwi i żelaza ogłądał się za organem prawowitym, z którymby mógł pokój zawrzeć i podpisać, napisałem artykuł pod tytułem: „Uwagi nad kwestyą wyborów w Prusach Zachodnich i W. Księstwie Poznańskim z powodu listopadowych wyborów do sejmu pruskiego“, który był drukowany w Przeglądzie Polskim. Artykuł ten rozpocząłem od następującej myśli: „W obec tak ważnych a niespodziewanych faktów i zmian sytuacji politycznych, jakie się dokonywają w oczach naszych, trudno przewidzieć naprzód, o ile i w jakim stopniu oddziaływać będzie zjednoczenie Niemiec, które jest niewątpliwe, na polityczne i społeczne stosunki narodowości naszej pod panowaniem pruskim. Czy Prusy spłyną w Niemcy, czy

też, jak się dotąd działo, Niemcom réjwodzić będą, czy kreacya Związku Północno-Niemieckiego pozostanie w tym kształcie, w jakim istnieje, czy też jego prawnopolityczna organizacya ulegnie pewnym zmianom skutkiem przystąpienia Niemiec Południowych, czy w parlamencie przyszłych Niemiec zjednoczonych znajdą się zasady, idee, żywioły, ludzie, charaktery, które dla interesów narodowości naszej będą więcej lub mniej przyjazne, jak dotąd w sejmie pruskim i rajchstagu, są to wszystko kwestye, o których dopiero wtedy będzie można sobie urobić jakieś zdanie bliższe rzeczywistości, aniżeli na domyślnikach opartej kombinacyi, gdy jako fakt dokonany działać poczną. Jakikolwiek nas zmiany oczekują, czy będą wywierały na nas wpływ pośredni, czy bezpośredni, z góry, czy dopiero w rozwoju późniejszych następstw; podstawa obrony narodowości naszej nie zmieni się a położenie nasze będzie jak dawniej tak i, później nakładało na nas obowiązek, abyśmy w każdej chwili i przy każdej sposobności, ciągle i nieustannie stali na straży naszych praw historycznych i bieżących interesów i potrzeb, które z bytem narodowości naszej pod rządem pruskim są nierozłączne.“\*) Przewodnią myślą owego artykułu było, ażeby zawczasu myśleć o obronie naszych interesów narodowych wszystkimi siłami wszystkiój naszej ludności i ta myśl utwierdzała się we mnie w miarę tego, jak następstwa zjednoczenia Niemiec ze względu na nas coraz natarczywiój podnosiły jój potrzebę. Że takie skupienie wszystkich sił — albo raczej, takie polityczne ożywienie naszego ludu miejskiego i wiejskiego, — jest chimera bez zgody w domu własnym, rzecz oczywista. Sam interes narodowy nakazywał nam zgodne

\*) Przegląd Polski. Zeszyt VII Styczeń 1871. Artykuł ten wyszedł w osobnej odbitce w komisie księgarni J. K. Żupańskiego. Ówczesna prasa milczeniem go pominęła — jak się zwykle w tém rzemiośle u nas dzieje.

postępowanie z tymi, którzy widzieli równocześnie potrzebę obrony Kościoła; słusznie mogli oni nawet żądać od nas stanowczej i szczerzej pomocy, bo Kościół nigdy w takim nie znajdował się ucisku, jak obecnie; mogli zaś o tę pomoc tem śmieliej pukać do naszego sumienia, bo tego nikt im zaprzeczyć nie może, że nasz ogół jest szczerze katolickim i obojętnym na ich głos nie będzie.

W tym łańcuchu myśli broniłem stanowczo, ile mi siły dozwalały, stanowiska, jakie w piśmie mojem zająłem, i bronić go będę w tém mocném przekonaniu, że na téj drodze jedynie możliwa jest rzetelna obrona tak Kościoła jak narodowości naszej. Żem się nieco obszerniej rozwiódł nad mém osobistém zapatrywaniem się na nasze sprawy, niechaj to czytelnika nie zraża. Uczyniłem to, co każdy człowiek, występujący publicznie, czyni, ażeby swoje przekonania uzasadnić i pozyskać dla nich w szerszych kołach uznanie i poparcie.

Dotąd starałem się na podstawie faktycznych objawów w naszym ruchu publicznym wykazać, że nasze wyższe klasy — zbiorowo wzięte — nie są przygotowane do podjęcia programu nieustającej obrony w myśli pośła I. Łyskowskiego. Rozwiódłem się nad tem obszerniej, a to dla tego, że sprawa ta stoi w ścisłym związku z obudwoma rezolucjami, z całym naszym ruchem wyborczym i jego polityczną doniosłością.

Kiedym się wybierał z obudwoma rezolucjami na zebranie, na którym p. dr. Szuman miał zdawać sprawę z czynności poselskich, nie brałem lekko treści tych rezolucyi, będąc świadom, że to nie drobnostka proponować „program narodowej obrony“. I gdybym był wiedział, że pierwsza tylko rezolucya przejdzie, że sprawa tak ważna tylko oklaskami zostanie ubita, że nie będzie oddana pod głębszą rozagę zgromadzenia, jak wyraźnie przewodniczącego o to prosiłem, ażeby zebrani mogli sobie uprzytomnić, co to jest uchwalać „program obrony narodowej“,

byłbym wolał żadnej rezolucyi nie wnosić. Bo ubijać ważne rzeczy oklaskami bez wniknienia w ich naturę na naszych politycznych zebraniach, złożonych w większej części z warstw niższych i średnich, to wedle mnie nie ledwie tyle, co zabijać takowe. Na tej drodze można tak samo i dla nonsensu, byle patriotycznie w frazesy upstrzonego, pozyskać zaszczyt grzmiących oklasków. Rezolucya pierwsza uchwalona mogła nabrać jasności i wartości dopiero przez drugą. Każdy jednak pojmie, że i obie rezolucye razem wzięte, będą dopóty chimera, dopóki nie stłumimy pożaru wojny domowej. I otoż dziś, gdy pragnąłbym z duszy myśl posła I. Łyskowskiego jak najbardziej spopularyzować, powiem otwarcie, że na owo zebranie przyszedłem nie z dwoma, ale z trzema rezolucjami i zaraz w pierwszej miałem zamiar poruszyć kwestyą warunku drugich dwóch rezolucyi.

Podaję tu tenor tej rezolucyi:

„Zważywszy, że walka tocząca się od dwóch lat z górami w społeczności naszej między stronnictwami tak zwanych „liberałów“ a „ultramontanów“, jest jedynie wynikiem nieporozumienia, głównie przez dziennikarstwo podtrzymywanego, że jest źródłem niezgody domowej, skutkiem czego zbiorowa i energiczna obrona nasza, jakiej obecne położenie od nas wymaga, staje się niepodobieństwem; wyborcy miasta Poznania w dniu 30 mb. zebrani potępiają walkę tę jako w najwyższym stopniu szkodliwą i zgubną i uważają za konieczność polityczną skupienie wszystkich sił społeczności naszej celem obrony praw Kościoła i praw narodowości naszej w tej rościągłości, w jakiej jedne i drugie obecnie są zagrożone.“

Poznań 30 czerwca.

Tę rezolucyą chciałem przedłożyć i to jako pierwszą na rzezoném zebraniu Bazarowém. Odstąpiłem od niej dla tego tylko, że mi z pewnej strony zwrócono uwagę, że może ona na liczném zebraniu nie korzystnie zrobić wra-

żenie. Dziś zaś przychodzę sam do tego przekonania, że rozwiązywanie tak ważnej i trudnej zarazem sprawy formą rezolucyi jest rzeczą fałszywą, bo praktycznego rozwiązania takich kwestyi trzeba na innych szukać drogach. Tu jednakowoż powtarzam tę rezolucyą, bo chodzi mi o wykazanie, że wszelkie nasze zachody około rzetelnej i nieustającej obrony naszych interesów spełzną na niczem, jeżeli wprzód kwestya sporu domowego nie będzie załatwioną. O tyle też ta kwestya sporna stoi w ścisłym związku z obudwoma powyższemi rezolucyami i z całym naszym ruchem przedwyborczym. Prawie o „programie obrony narodowej“, o pospolitém ruszeniu ludu w czasie wyborów, a nie przytłumić naprzód niezgody w własnym domu, nie pracować nad rozwiązaniem kwestyi spornej, która nami jak jaka polityczna wielka choroba od dwóch lat trzęsie, to tyle, co bawić się w czczą deklamacyą, co samowolnie chociaż mimowolnie wystawiać się na szydercze drwiny prostej logiki. Program nieustającej obrony politycznej, pojętej w myśl posta Ign. Łyskowskiego da się rozwinać jedynie przez systematyczną agitacyą wyborczą, powołującą ogół do świadomości sytuacji a przez nią do pełnienia obowiązków. Nie ma zaś agitacyi prawdziwej, a co ważniejsza nie ma systematyczności, która naszej agitacyi może nadać dopiero cechę i doniosłość polityczną, jeśli nie będzie zgody. Bez niej pożądane rezultaty z wszelkich naszych projektów, wieców, wniosków i rezolucyi są niemożliwe; wszelkie nasze zachody są po prostu — śmieszne. Tylko szaleniec może rzeknąć do człowieka na całym cielem porażonego: powstaj i biegaj, co ci sił starczy. My będziemy podwójnymi szaleńcami, jeżeli, mając siły zbiorowe niezgodą wewnętrzną porażone, będziemy mimo to wmawiali w siebie gotowość do podjęcia ciężkiego trudu, którym mamy ratować naszą egzystencyą wpaństwie pruskiem.

Niechaj tedy nasze obywatelstwo wiejskie, które z wieku

i urzędu przodowało i przoduje w sprawach publicznych inszym warstwom, zastanowi się nad tą kwestyą spórną, jakby ją załatwić lub usunąć, pomnie na to, że obecnie zgoda jest pierwszym warunkiem naszego życia. Niechaj się nie da bałamucić fałszywemi poglądami i nadziejami, bo nie wiedząc może nawet o tem, przystąpi do wyborów z złamaną siłą, skutkiem czego rezultat tychże nie będzie mógł być wykładnikiem zbiorowej opozycyi naszej na-przeciw obecnemu systemowi, jaki rząd pruski wględem nas praktykuje. A o to przy wyborach nam chodzi! Unikajmy namiętności rzeczywistój lub udanej, płytkości i deklamacyi, bo opłacim błędy nasze własną krwią serdeczną i żywém ciałem społeczności naszej. Własną krwią i żywém ciałem — powtarzam — nie dla fra-zesu, ale w mocném przeświadczeniu, że tak się stanie. Przy takiej gospodarce w sprawach publicznych, jaką obecnie prowadzimy, jest niepodobieństwem, ażebyśmy na dłuższy czas atak rządowy wytrzymać mogli. Pojęcia nasze będą ciągle niejasne, zamaczone, zamieszanie w naszych pracach zbiorowych, które już obecnie znajduje się w pełnym rozkwicie, będzie wzrastało; słabość na duchu i na ciele będzie się wzmagała i po latach dwudziestu pięciu, — a więc w przeciągu jednej generacyi — wykaże statystyka naszej ludności i naszych posiadłości, że jest nas mniej, że taki a taki procent nas zginął. Bez zgody nie ma u nas życia publicznego.

## II.

W powyższym ustępie starałem się wykazać, że nasze wyższe klasy, tak zwane intelligentne, nie są przygotowane do podjęcia nieustającej obrony praw naszych z powodu braku jasności w poglądzie na rzeczywistą sytuacyą i z powodu niezgody wewnętrznej. Wykazałem dalej ko-

nieczną potrzebę zrektyfikowania naszej opinii powszechniej, co jest warunkiem przywrócenia zgody, pokoju i ładu w naszej społeczności, co znowu uważam za niezbędny warunek obrony naszej przyszłości.

Wypada teraz zwrócić na to uwagę, że choćbyśmy opinią powszechną zrektyfikowali i zgodę przywrócili, to gotowość wszystkiej naszej społeczności do podjęcia obrony swych interesów jeszczeby tém samém nie była rozstrzygniętą. Usunęlibyśmy przeszkody znajdujące się w klasach wyższych, ale pozostałaby jeszcze robotą nad warstwami średnimi i niższymi. Gotowymi do podjęcia walki i utrzymywania nieustającej opozycyi przeciw systemowi rządowemu będziemy wtedy dopiero, skoro przeszkody wyżej wspomniane zostaną usunięte a robotą około pospolitego ruszenia ludu miejskiego i wiejskiego będzie w ruch wprowadzoną. Że tego wymaga po nas sytuacja, nie potrzebuję przypominać, ale pozwolę sobie przy tej sposobności zwrócić uwagę na trudne położenie nasze. Potrzebujemy czynnego, świadomego i wytrwałego udziału ludu miejskiego i wiejskiego i lud ten mamy do świadomości obowiązków publicznych doprowadzić przy pomocy klas wyższych, które same muszą jeszcze pracować nad rozjaśnieniem sobie sytuacji, nad wyrobieniem sobie krytycznego sądu o naszych stosunkach, jak w rzeczywistości się mają. Mamy oświecać i prowadzić lud, sami nie będąc dość oświeceni i sami siebie nie umiając prowadzić! Dyament trze się tylko dyamentem; mamy zatem przed sobą robotę bardzo trudną, bo podwójną. A jednak do tej roboty trzeba nam koniecznie przystąpić, jak to niżej będę się starał wykazać.

Ażeby nie być źle pojmovanym, wypada mi tu powiedzieć, co rozumiem przez „lud miejski i wiejski.“ Wyrażenie to używane dość często w piśmie mojem raziko i prasę i pewną część publiczności wyższej. Zarzucano, że wywołuję w „ludzie miejskim i wiejskim“ przeciwień-

stwo do stanów wyższych; inni upatrywali w tem rozmyślną nienawiść do szlachty i intelligencyi, inni znowu posądzali o dążność tworzenia „stanu trzeciego“ w rozumieniu polityczném.

Pojęcia „ludu miejskiego i wiejskiego“ nie podnosiłem nigdy w kierunku anarchicznym, rozrywającym solidarność narodową. Nienawiści do szlachty i intelligencyi nie głosiłem ani bezpośrednio ani pośrednio, jak mi to nawet na pewném publiczném zgromadzeniu дано za przyczyną ludzi piśmu mojemu niechętnych dość wyraźnie do zrozumienia. Dowodem tego wszystkie dotychczasowe artykuły *Orełdownika*. Zarzut ten powstał przez nadużycie mego wyrażenia o „łykach“, które było użyte w najniewinniejszej myśli, które jednakowoż do tego stopnia rozmyślnie w fałszywém przedstawiano świetle, że kiedy nagle rozeszła się wiadomość o znaném wiecu Kościańskim małych posiadzicieli, z którego petycją wysłano nie na ręce posła Chłapowskiego, ale dr Laskera, nie wahano się publicznie uczynić za to *Orełdownika* odpowiedzialnym. O jakieś mrzonki wytworzenia „stanu trzeciego“ w rozumieniu — *tiers-état* — nikt mię posądzać nie mógł; sądzę też, że każdy, co piśmo moje czyta, może nabrać przekonania, iż się za nadto trzeźwo na nasz stan ekonomiczny i polityczny zapatruję, ażeby się w takie wiatraki bawić. Podnosiłem pojęcie „ludu miejskiego i wiejskiego“ nie w rozumieniu anarchicznym, ale żeby wzbudzić w nim poczucie narodowe dotąd nierozbudzone, ażeby wykrzesać w nim choćby słabą iskrę świadomości narodowej, by z dalszym rozwojem i postępem zrzucił z siebie zwolna cechę mimowolnego narzędzia, któregooby każdy mógł użyć i nadużyć, a występował w naszym życiu publicznym z coraz pewniejszą samodzielnością. Taki „lud miejski i wiejski“ nie stanie naprzeciw naszej szlachcie i intelligencyi; przeciwnie nasza szlachta i intelligencya, jeżeli myślą o odegraniu jakiej roli wespół z średnimi i niższymi warst-

wami, to za takim tylko „ludem miejskim i wiejskim“ oglądać się mogą.

Ponieważ sprawa ta jest w ścisłym związku z przedmiotem, który w tej pracy traktuje, przeto wypada mi po bliższem opisaniu istoty pojęcia „ludu miejskiego i wiejskiego“ określić także bliżej jego obwód.

Podnosząc pojęcie „ludu miejskiego i wiejskiego“ nie miałem i nie mam na myśli ludu w jak najszerszém tego słowa rozumieniu. Nie podzielam zdania tych, którzy u nas, przy każdej nieledwie sprawie, wszystko czynią zależném od owego „ukochanego ludku naszego;“ którzy się pocieszają nadzieją, że jak „nasz ludek kochany“ przyjdzie do oświaty, to przyszłość nasza będzie zupełnie zabezpieczoną. W takiego zbiorowego Mojżesza społeczności naszej nie wierzę i ów „ludek ukochany“ uważam po prostu za modę najpopularniejszą naszej opinii powszechniej, ale nie za czynnik polityczny, zdolen do świadomej pracy publicznej. Masa ludności roboczej tak po miastach, jak po wsiach, ekonomicznie zależnej, żyjącej z pracy dzienniej, stanowi wprawdzie materiał społeczny, ale nie element, w którymby sprawa powszechna miała znaleźć stałą i pewną podstawę. Taki element może przedstawiać u nas tylko ta część ludu miejskiego i wiejskiego, która posiada pewne warunki samodzielności ekonomicznej i pewien stopień oświaty; więc mniéj więcéj to, co rozumiemy przez nasze obywatelstwo miejskie i wiejskich gospodarzy — to jest średnie klasy naszej społeczności.

W tem rozumieniu podnoszę „lud miejski i wiejski“ i przyznaję się otwarcie do przekonania, że przyszłość naszą widzę zależną od siły tego elementu — a nie od szlachty. Element ten już dzisiaj stanowi faktyczną naszą siłę, rozbudzony i podniesiony do większej świadomości obywatelskiej, będzie przedstawiał najszerszą i najmocniejszą podstawę naszej narodowości; on też będzie najzdolniejszy

do oddziaływania na najniższe warstwy nasze i ogrzewania ich ciepłym narodowym. Pomiedzy klasami wyższymi a najniższymi może on stanowić łączne ogniwo. Niechaj jednak nikt nie sądzi, ażeby zatem pojsć miało, iżby szlachta i intelligencya miała stracić swe prawa pierwszeństwa, o ile na nie zasługuje. Stanowisko klas wyższych przez podniesienie się klas średnich nie potrzebuje zgoła żadnego uszczerbku ponosić; owszem solidarność wszystkich warstw będzie tém mocniejsza, bo w takim „ludzie miejskim i wiejskim“ solidarność ta znajdzie więcej pewniejszych warunków.

Ta część społeczeństwa wszakże nie jest obecnie dostatecznie przygotowaną do obrony praw narodowych, jakiej potrzebujemy. Jój stan jest jeszcze luźny, wątki, grzązki. Przedstawia się ona więcej z przymiotami giętkiego wosku, aniżeli twardego granitu, jakiego w niej musimy szukać. Nie zbywa jój na pewnych warunkach ekonomicznych, na pewnym stopniu oświaty ogólnej i politycznej, na pewnej tradycyi narodowej, ani nawet na interesie do sprawy publicznej, ale to wszystko jest słabe, mało rozwinięte, na obecną chwilę niewystarczające. Grunt jest tam, jak to mówią, złoty, ale téż to prawie wszystko. Brak jój dostatecznej znajomości zbiorowych naszych stosunków i naszego położenia, brak potrzebnej refleksyi, sądu, a co najważniejsza zaufania do samej siebie — brak samodzielności. Ztąd ta jój nieśmiałość i nieporadność w sprawach publicznych, która czasami sięga istotnie, jak *Kuryer* słusznie zauważył, aż do helotyżmu. Ludzie ci czują się Polakami, wiedzą, że są Polakami, gotowi są bronić swego charakteru narodowego, ale że nie mają dostatecznego wyobrażenia o swém prawno-politycznym stanowisku w państwie pruskiem, więc mimo téj gotowości zbywa im i na wprawie i na cywilnej odwadze do obrony. Mało oni jeszcze wiedzą o tém i rozumieją, że pomiedzy ich ujarzmieniem politycznym a rządem pruskim jest prawo, konstytucya, do

której wolno im się odwołać w obronie własnych interesów.

Nasz charakter publiczny jest dualistycznej natury. Jesteśmy Polacy i poddani państwa pruskiego w jednej osobie. Jako Polacy wywodzimy prawa naszej narodowości z prawa Boskiego, z prawa natury, mamy je także zagwarantowane traktatami międzynarodowemi. Jako poddani państwa pruskiego mamy prawa krajowe poręczające nam bezpieczeństwo osoby i mienia, jako też wolność polityczną; jako tacy jesteśmy także obowiązani do posłuszeństwa prawu publicznemu i władzy rządowej. Dopóki ten dualizm, jak się wyraziłem, trwa, obowiązkiem naszym jest utrzymać potrzebną równowagę pomiędzy naszym przyrodzonym charakterem polskości a politycznym charakterem poddanych państwa pruskiego. Otoż rząd dąży wyraźnie do zniesienia téj równowagi, do unifikacji tego dualizmu i to w tym kierunku, żeby nasz przyrodzony charakter polskości stopił się w politycznym charakterze poddanego pruskiego. To jest najnowsza forma naszej germanizacji, w tych dniach u góry sankeyonowana; niedawno jeszcze temu miała ona prawie wyłącznie charakter ekonomiczny. W interesie naszym leży zatem, żeby nie dopuścić, ażeby ta równowaga pomiędzy temi dwoma naszymi charakterami publicznymi w sposób przez rząd ułożony zniszczoną została. Zapobiedz zaś temu może jedynie w ten sposób, że naprzeciw tendencji rządowej stawiać będziemy siłę żywotną naszej narodowości, popartą świadomością narodowego charakteru. Interesowi państwa pruskiego niczem to nie zagraża, narodowość zaś naszą ratuje od ostatniej zagłady.

Nasza społeczność a mianowicie nasz „lud miejski i wiejski“ musi być świadom tych dwóch charakterów w sobie. Bo dziś, kiedy jako Polacy posłuchania napróżno się domagamy, kiedy prawo boskie, prawo natury nie jest za żadną podstawę prawną uważane a traktaty wiedeńskie jako rzecz

do historii należąca pojmwane, nie pozostaje nam nic innego, jako oprzeć się na konstytucyi i żądać tego, czego żądać dla siebie za potrzebne uważamy. Na konstytucyą możemy się powoływać jako poddani państwa pruskiego, i występując w tym charakterze bronić w sobie charakteru narodowego. Poddany pruski musi u nas bronić Polaka. O tyle myśli powyższe schodzą się z przewodnią myślą posła Ign. Łyskowskiego, który nam radzi na podstawie konstytucyi pruskiej żądać dla siebie równouprawnienia — sprawiedliwości.

Takie też stanowisko zajął ks. Bismark w owój pamiętnój mowie, w której wypowiedział także konieczną potrzebę, że kaźden z nas musi być świadom swego charakteru publicznego, jako obywatel państwa i mieć własny sąd o swym stosunku do rządu. — *„Es ist für die Eingesessenen ein Bedürfniss, dass sie den Staat in dem sie leben, aus eigenem Urtheile zu beurtheilen vermögen. — Jeder Staatsbürger muss in die Lage versetzt werden, sich eine Kritik über die Regierung selbst machen zu können.“*

Nie nie przeszkadza, ażebyśmy pod tym względem nie mieli się zgadzać na stanowisko, które ks. Bismark w powyższych zdaniach wypowiedział; owszem trzeba nam nawet oprzeć się na nim. Ta tylko zachodzi między nami a ks. Bismarkiem różnica, że na tém stanowisku chce on ubić narodowość naszą, a my jój bronić i utrzymać ją.

Otóż te pojęcia, ten dualizm w naszym publicznym charakterze nie jest dość szerszym kołom naszój ludności znany i wyjaśniony. Ludność nasza ma zbiorowo występować do obrony spraw swoich, ma w charakterze obywatela pruskiego bronić praw Polaka. Jakże więc chcemy dokaźać tego, ażeby lud nasz wiedział, co jako poddany winien państwu, a co państwo winno jemu, ażeby umiał bronić swych wszystkich interesów, jeżeli ludu tego nie wciągniemy wprost w życie publiczne, jeżeli nie będziemy

przez systematyczną agitacją wyboreczą zapoznawali go z publicznemi sprawami i przyzwyczajali do pełnienia obowiązków publicznych. Każdy z nas winien umieć sobie wyrobić własny sąd o stósunku swoim do państwa — i własną krytykę o rządzie.

Dziś więc, kiedy z jednéj strony ks. Bismark tego od nas żąda, podczas gdy my z drugiéj strony czujemy potrzebę nieustającej obrony praw narodowych, która może być podjętą jedynie przez wszystką społeczność naszą, należy nam się pytać, cośmy w tym kierunku zdziałali, ażeby świadomość obywatelską wśród ogółu naszego jak najbardziej rozpowszechnić. Zastanawiając się nad tem, poznamy tém samém, cośmy dla naszych średnich klas pod względem ich politycznego wykształcenia dotąd zrobili, o ile takowe są przygotowane do opierania się obecnie panującemu systemowi, i co nam dalej robić należy.

Od czasów zaprowadzenia konstytucyi w monarchii pruskiéj, a więc od lat 25, mieliśmy sposobność kształcić szersze warstwy polityczne. Tymczasem zrobiliśmy tyle co nic i zaniedbaliśmy pod tym względem prawie zupełnie nasze klasy średnie i niższe. Nie wciągaliśmy ludu w sprawy publiczne, nie przedstawialiśmy mu materiału publicznego, ażeby się go mógł dotknąć, nauczyć się poznawać go i zwolna wyrabiać sobie sąd o nim. Jedyną sposobność, przy której zmysł polityczny ludu naszego bywał drażniony, były dwie rewolucye 1848 i 1863, r. które go niestety utwierdzały w tém bardzo mylném przekonaniu, że nie można dla sprawy narodowej inaczej pracować, jak tylko wśród krwi i ruin zbrojnéj ruchawicy. Oddziaływaliśmy też zawsze na serce, nigdy a przynajmniej rzadko na rozum mas szerszych, żeby je politycznie podnieść. Wychodziliśmy nadto z téj w praktyce fałszywéj zasady, że szlachta i inteligencya wystarczą do ożywienia i prowadzenia ludu, nie zważając na zmieniające się z biegiem czasu stósunki populacyjne ludności naszej, że mamy już wiele okolic,

gdzie szlachty polskiej nie ma i gdzie gospodarze wiejscy sami pozostali. Piękne i wzniosłe jest niewątpliwie hasło, które lubimy powtarzać: „z szlachtą polską polski lud“, jeżeli ona ma wyrażać formę naszej tyle nam potrzebnej solidarności narodowej, atoli nie wszędzie już dziś znajdujemy realne warunki dla tego hasła. Zbywało nam także na umiejętności do politycznego kształcenia ludu i na téj gorliwości, która ma to za sobą, że choćby i nie była kierowana dość umiejętnie, to jednak przy nieustannej pracy dochodzi do jakichś rezultatów. W prasie naszej pierwszy głos stanowczy za politycznym kształceniem stanu średniego tak miejskiego jak wiejskiego, odezwał się dopiero pod koniec 1870 r. w *Gazecie Tor.*, która podniosła potrzebę towarzystw politycznych. *Dziennik Pozn.* z równą stanowczością przeciw temu wystąpił, wychodząc z tego samego punktu widzenia, z jakiego kilka lat później pisał przeciw wiecowi w Hotelu Saskim. W artykuliku nad kwestyą wyborczą, zamieszczonym w *Przeglądzie Polskim*, oświadczyłem się także przeciw towarzystwom politycznym, dla których i dzisiaj nie widzę dostatecznych warunków, atoli uznałem myśl dobrą, która się na dnie propozycji *Gazety Tor.* ukrywała, przemawiając za zebraniem politycznymi a mianowicie za zreformowaniem agitacji wyborczej. Dzisiaj po świetnym zebraniu Bazarowém, na którym prezes Koła polskiego zdawał sprawę, i *Dziennik* oświadczył się za tém; miejmy więc nadzieję, że się pod tym względem doczekamy postępu jakiego.

Opieszałość nasza na tém polu była tak wielką, że dr. Szuman na zebraniu Bazarowém, przypadającym w rok 25 letniego jubileuszu walk parlamentarnych reprezentacji naszej, mógł powiedzieć, że w Poznaniu odbywa się pierwsze zebranie, na którym wyborcy słuchają sprawozdania sejmowego. Zaniedbanie na tém polu jest tak wielkie, że na owém zebraniu po 25 latach walki parlamentarnej czuł sprawozdawca potrzebę wyświecenia zebranim wybor-

com, co to jest sejm, co są izby, jaki ich skład. O ile mi wiadomo z zupełnie wiarogodnego źródła, podnoszono w Kole polskiem potrzebę sprawozdań poselskich, ale jak dawniej, tak i dziś posłowie nasi nie uwzględniają tego. Po przedostatnim sejmie zdawało sprawę na kilkunastu zaledwie 4 posłów, tj. pp. Krzyżanowski, Dziembowski, Taczanowski ustnie, p. St. Chłapowski piśmiennie. Dzisiaj na 12 posłów dwóch tylko zdało sprawę, to jest p. dr. Szuman ustnie i p. St. Chłapowski piśmiennie, o innych nie dotąd nie słyhać. Jeżeli nadto uwzględnimy, że nasza agitacya wyborcza jest najmizerniejszą w świecie, bo opartą na kościotrupie szematyzmu bez myśli prawie, bez duszy ożywczej, robiąca z wyborców raczej maszynę, aniżeli polityczne ciało siebie świadome, nie możemy się wcale dziwić, że nasze średnie warstwy stoją dotąd na tak niskiem politycznem wykształceniu.

Śród naszych klas wyższych, śród naszej intelligencyi, które na polu politycznem powinnyby drogę wskazywać warstwom średnim, widoczne jest niezaufanie do tych ludzi, jakaś nieśmiałość, lękliwość, nieporadność a nawet pewien rodzaj wstrętu do wciągania ludności naszej w interesa polityczne. W ostatnim czasie nadarzała nam się nieraz sposobność do tego, a przecież nie tylkośmy z niej nie korzystali, aleśmy ją nawet wprost odrzucali. Pomijam wiece protestujące przeciw twierdzeniom ks. Bismarka, na których lud zebrany przedstawiał obraz zgłodniałego proletaryatu politycznego i zatrzymam uwagę czytelnika nad wiecami katolickimi, które w roku zeszłym *Kuryer* proponował.

Prawa uchwalane w sejmie pruskim i niemieckim przeciw Kościołowi spychały go według orzeczenia jego reprezentantów, to jest episkopatu, ze stanowiska instytucyi Bożej na stanowisko instytucyi rządowej, a w każdym razie od rządu zależnej. Prawa te z góry oparte były na tak daleko sięgającej tendencyi politycznej, iż

można było naprzód przewidzieć, że zanosi się na długą i twar-  
dą walkę, która do głębi poruszy sumieniami społeczności  
katolickiej, jak się też rzeczywiście stało. Słuszna by więc było,  
gdybyśmy ludowi naszemu, na wskroś katolickiemu, byli na  
wiecach katolickich objaśnili dokładniej sytuacją. *Kuryer*,  
który czasu swego protestował stanowczo przeciw wiecowi  
w Hotelu Saskim i innym, zaproponował sam, w pół roku  
po uchwaleniu prawa o Jezuitach, wiece katolickie, spo-  
strzegłszy dość wczesnie, że obronę Kościoła trzeba oprzeć  
na szerokiej podstawie ludu i lud do téj obrony na ze-  
braniach politycznych przygotowywać. Może to *Kuryer*  
nie dość zrećźnie uczynił o tyle, że w program wieców  
katolickich wciągnął od razu wszystkie prawie nasze in-  
teresa społeczne, nie wykluczając z niego nawet głośnego  
wówczas Banku włościańskiego; myśl jego była jednak  
i uzasadniona ze stanowiska religijnego i pożyteczna ze  
stanowiska narodowego, boć wiece katolickie nie mogły  
być czém inném, jak tylko zebraniem politycznym,  
a wiec szkołą polityczną ludu. Na proponowanych wie-  
cach katolickich byłyby musiały być poruszone zarówno  
sprawy religijne jak narodowe, i wiece byłyby się przyczy-  
niły nie tylko do podniesienia ciepła religijnego wśród  
ludu, ale równocześnie i gorętszego poczucia narodowego.  
Wyświecanie ludowi, co znaczy prawo Lutza, wypędzenie  
Jezuitów i pokrewnych mu zakonów, co znaczą zapowie-  
dziane wówczas prawa kościelne, śluby cywilne, byłoby  
niewątpliwie z korzyścią dla Kościoła; ale i sprawa na-  
rodowa byłaby z nich wyniosła dla siebie pożytek, bo  
równocześnie byłibyśmy mówili o dozorze szkolnym, o szko-  
łach simultanych. Przypuściwszy nawet, że program  
wieców katolickich byłby się ograniczył na sprawach czysto  
religijnych, to samo ich traktowanie, wyświecające stó-  
sunek między Kościołem a państwem, byłoby już podnio-  
sło nasz lud niezmiernie wysoko w jego ogólnych poję-  
ciach politycznych, które się dziś znajdują jeszcze na tym

stopniu, że prezes Koła polskiego, zdając sprawę z czynności poselskiej — w roku 25-letniego jubileuszu naszych walk parlamentarnych — uważał nie tylko za stósowne, ale nawet za potrzebne, rozpocząć od wykładu; co to jest sejm — i był z wielką ciekawością słuchany! Lud na wiecach katolickich byłby się przecież dowiedział, jakie to są granice między Kościołem a państwem, z kąd pochodzi, że rząd ma prawo i siłę do takiego postępowania względem Kościoła, w jaki to sposób te prawa się uchwalają, jakie będą one miały znaczenie w swych skutkach na naszej ziemi ojczyśczej, jakimi środkami można się przeciw temu bronić i jak taką obronę należy urządzać. Byłyby to kwestye niesłychanie lud nasz kształcające.

Mimo to nie zgodzono się na nie, odrzucono je wśród niesłusznych zarzutów na ich proponentów i równoczesnych wykrzykników o oświacie ludowej. Było błąd fatalny z naszej strony, żeśmy taką wdzięczną sposobność porzucili, błąd, w którym się kryje niemiłosierna krytyka naszego rozumu politycznego, bo stawiająca ponowny dowód, że wśród gorączki frazesów patryotycznych jesteśmy zdolni wprost przeciw interesowi narodowemu działać. Dziwna rzecz, iż dotychczas, ile razy chodziło o wciągnięcie ludu do spraw politycznych, umieliśmy zawsze z szczególnym talentem mieszać sprawę religijną z sprawą polityczną, co w gruncie rzeczy nie było czém inném, jak wyzyskiwaniem uczuć religijnych na korzyść siły politycznej, w którą byliśmy ubodzy. Działo się to podczas każdej naszej rewolucyi. W roku 1863 zawodziliśmy po kościołach naszych nabożne pieśni za Ojczyznę tak w niebogłosy, że się nieledwie filary nachylały i chciały się ze strachu z kościołów powynosić, aby nie być świadkami tej nabożnej polityki i równocześnie politycznego nabożeństwa. Była to przesada, która nam nie dobrego nie przyniosła, wychodziliśmy jednak przytem z tego prawdziwego zapatrywania, iż w ludzie naszym uczucie

religijne jest silniejsze i więcéj rozwinięte od zmysłu politycznego. Dziś, kiedy na porządku dziennym stoją sprawy religijne i narodowe, kiedy bez wyzyskania jednych przez drugie potrzeba nam skupienia dla równoczesnej obrony obudwóch, ignorujemy siłę uczucia religijnego w ludzie naszym. Jeżeli jednak głębiéj w rzecz wnikiemy, powinniśmy przyznać, że łatwiejsza i skuteczniejsza byłaby praca około politycznej oświaty ludu, gdybyśmy mu najprzód sprawy kościelne przedłożyli, któremi się on żywo interesuje, a potém przystąpili do objaśnienia go w sprawach politycznych, które go stósunkowo mniej obchodzą, bośmy się o to mało troszczyli. Tak postępować nakazywałyby nam, że się tak wyrażę, polityczna pedagogika.

Ważniejszymi od samego faktu odrzucenia propozycji *Kuryerowej* są rzeczywiste powody jéj odrzucenia. U tych, którzy ją stanowczo odrzucali, nie rozstrzygały kwestye zasadnicze, ale stronnicza namiętność a mianowicie podejrzywanie strony proponującej o chęć zawładnienia rządów nad ludem i wyzyskiwania sił narodowych na wyłączną korzyść Kościoła. Skutkiem tych podejrzeń, rodzących się zresztą z natury naszej niezgody domowej, została ludowi naszemu usunięta sposobność podniesienia swego widnokregu politycznego. Tak mści się brak jasnego, krytycznego poglądu, niezgoda klas wyższych, na naszych warstwach średnich i niższych.

Usuwalіśmy z myśłu wszelką sposobność, zatraciliśmy czas najdroższy, bo nie było wdzięczniejszej chwili, jak ostatnie półtora roku, aby ludowi naszemu z korzyścią przyswoić jaśniejsze pojęcia o sprawach publicznych. W owym to czasie, kiedy się jeszcze w sejmach toczyły narady nad prawami przeciw Kościołowi i narodowości naszej, należało umysł naszego ludu zwrócić ku nim, wskazać mu, jak one powstają i do czego mierzą, by postępował za niemi i razem z niemi, by duch jego czuł, my-

ślał i żył w owym czasie i w jego wypadkach. Wypadki te byłyby się odbiły na jego duszy siłą wrażenia swęj świeżości, byłyby się zapisały na długie czasy niestartemi głoskami w jego pamięci. Lud nasz, słysząc i rozumiejąc, co się dzieje, byłby czuł, myślał i żył z tą częścią społeczności naszej, która konieczną potrzebę solidarności narodowej tak wysoko podnosi. A przecież postąpiliśmy przeciw własnym słowom, życzeniom, wbrew wspólnemu interesowi, wskazując lud na przespanie chwili, w której ks. Bismark inteligencyi naszej spać nie dozwolił.

Jeżeli chcemy gruntownie zbadać sposób, w jaki należałoby lud pozyskać rzetelnie dla czynnej i świadomej obrony narodowości naszej, nie dość wskazywać błędy naszego postępowania; należy jeszcze postępowanie to stać pod światło bieżących wypadków i wymóg czasu. A jeżeli to uczynimy, spostrzeżemy rychło, że postępowanie nasze jest w jak najjaskrawszej dysharmonii z potrzebami naszymi, które sami głośno uznajemy. Nie brak było w ostatnim czasie na ujemnych i dodatnych powodach, abyśmy się gorliwiej jak dotąd ludem zajęli. Ks. Bismark powiedział w oczy naszej reprezentacyi, że nie ma za sobą ludu; wiec Kościański małych posiadzieli, z którego wysłano petycyą na ręce posła Laskera skutkiem tego, że Niemcy podeszli z ręcznie polskich gospodarzy, był dla nas dotkliwą nawet przestrogą; komisya szkolna w sejmie pruskim, przeglądając tysiące polskich podpisów znajdujących się pod petycyą językową Prus Zachodnich, zaprzeczała ich wartości i wyszydzała krzyżyki naszego ludu. To były ujemne powody; przytoczmy dodatne. My sami apelujemy do ludu, by czynnie i świadomie wystąpił do obrony praw narodowych. W W. Księstwie rozsyłamy petycyę do podpisów za przywróceniem praw naszego języka; ks. Arcybiskup odzywa się do wszystkich wiernych, ażeby czuwali nad nauką religii dla dzieci swoich, żeby nawet po wsiach urządzano prywatną naukę re-

ligii; po miastach wzywamy obywatelstwo, żeby się bro- niło przeciw tendeneyjnój zamianie szkół katolickich na symultanne; poseł Łyskowski wzywa pojedyncze parafie, żeby same wysyłały petycye za równouprawieniem ję- zyka naszego. A więc nasza polityka w miarę coraz sil- niejszego nacisku przybiera jakoś zakrój polityki ludowej, gdy ludu nie tylko z niej nie wykluczamy, ale nawet wprost doń apelujemy. Atoli jakże lud ma pójść za gło- sem ks. Arcybiskupa i czuwać nad religijném wychowa- niem swych dzieci, jeżeli mu nikt tego nie wyjaśnił w ten sposób, ażeby pojął całą doniosłość głosu ks. Arcybiskupa. Czyśmy urządzali jakie wiece katolickie za czasów le- pszych, ażeby lud przygotować dostatecznie na zrozumie- nie głosu Arcypasterskiego odzywającego się w czasach cięższych? Żądamy od każdój parafii, aby wysyłała pe- tycye do sejmu o równouprawienie języka ojczystego, a czyśmy się starali o to, ażeby każdój parafii wyświe- cić, jakie to niebezpieczeństwo językowi naszemu zagraża? W ucisku apelujemy do ludu — na jakiej podstawie? Czy możemy z spokojném sumieniem powiedzieć sobie, żeśmy lud przygotowali do tego, czego dziś odeń żądamy?

Powyższe karty były już odesłane do druku, kiedy się odbyło zebranie wyborcze miasta Poznania (dnia 16 lipca w Bazarze), które mi podaje nowy materiał do ilustracyi, jak się na kwestyą udziału ludu w sprawach publicznych zapatrujemy. W ostatnich dwóch tygodniach mieliśmy dwa polityczne zebrania ludowe w Bazarze, oba bardzo liczne. Dnia 30 czerwca zebrała się nasza lu- dność miejska na wysłuchanie sprawozdania posła dr. Szumana. Nasze wyższe klasy były tym udziałem za- chwycone; *Dziennik Pozn.* poświęcił osobny artykuł, przyznając, że klasy średnie i niższe aż do najbiedniej- szego wyrobnika zajmują się „polityką“, że pp. komisarze i inni urzędnicy mogą się pożegnać z wpływem na lud nasz, którym się dotąd może cieszyli.

Dnia 16 lipca odbyło się zebranie wyborcze wyborców poznańskich, którzy na zebraniu tém mieli obok rozmaitych wyborów przedewszystkiem obowiązek zdać sobie samym sprawę z tego, po co do tych wyborów przystępują. Określono téż tam stanowisko swoje tak, jak uważano za rzecz potrzebną i stósowną. Zebranie to jednak nie cieszyło się tą życzliwością pewnych klas wyższych, co tamto. *Dziennik* wzdrygnął nad niém ramionami, że wszystkim mówcom, bez względu na różnice zdań, zebrany lud przyklaskiwał, — co było nieprawdą. *Wiarus* zaś litował się nad niém, odradzał od podobnych zebrań, twierdząc, że tam dziesiąty, setny nie wie, o czem mowa, na co dowodu nie stawił.

Tu i tam był jeden i ten sam lud; na tamtém zebrali się wyborcy, żeby słuchać, co im prezes Koła polskiego o sejmie powie; na ténentu, ażeby sami wyrazili publicznie, czego pragną bronić przez swych posłów w sejmie. Drugie więc zebranie było bez porównania ważniejsze; stało ono w związku z wiecem w hotelu Saskim z dnia 23 lutego 1872 r, gdzie ten sam lud protestował przeciw ministeryalnemu twierdzeniu, jakoby nie wiedział, po co posłowie polscy na sejmy jeżdżą; stało ono w związku z politycznym zebraniem z dnia 30 czerwca rb, na którym ten sam lud zgodził się na program nieustającej obrony narodowej. Zebrało się ono licznie w myśl rezolucyi popartej przez *Dziennik*, ażeby ludność naszą kształcić politycznie na obecnych właśnie zebraniach wyborczych. Świeci ona zresztą jako jedyne zebranie w całym Księstwie, na którym setkami zebrała się ludność średnia i niższa.

Czemu mimo to pewna część prasy naszój tak lekceważąco się o niém wyraża? *Dziennik* sam na 24 godzin przed zebraniem pisał: zbierzcie się tak licznie, jak na sprawozdanie dr. Szumana, — a w 24 godzin po zebraniu napisał: dudki jesteście, nie katoliki, bo wszyst-

kim i wszystkiemu przyklaskujecie. Zkąd to pochodzi? Przyczyną tego jest uchwalona na tém zebraniu rezolucya, a właściwie jego druga część, a jeszcze właściwiej dodatek téj drugiej części, a w rzeczy samej osoba ks. Arcybiskupa, czyli materya sporu naszego. Gdyby na tronie arcybiskupim siedział drugi Woronicz, i temu zebraniu ludowemu byłyby owe dzienniki przyklasnęły. Pominiam tu kwestyą sporu naszego, o której już w pierwszej części pisma mego mówiłem, i podnoszę sam objaw, pozwalając sobie wyciągnąć z niego konsekwencye uprawnione, bo logiką wynikające.

Chwaląc jedno, ganiąc drugie zebranie jednych i tych samych wyborców, wypowiadamy wyraźnie, że lud nie wszędzie i nie zawsze jest pożądanym; że życzymy sobie udziału jego w sprawach publicznych wtedy tylko, kiedy tego ludu potrzebujemy nie w jego, ale w swoim wyłącznym interesie. A więc lud bierzemy nie ze stanowiska zbiorowego interesu, ale ze stanowiska interesu stronniczego; — a więc ludu chcemy użyć do szczegółowych demonstracyi publicznych, ale nie do ciągłej, systematycznej obrony spraw narodowych; — a więc lud jest dla nas tylko narzędziem, a nie podstawą, na której należy oprzeć obronę narodową. Postępując jednakże w ten sposób, wystawiamy się na niekonsekwencyą, na sprzeczność sami z sobą. Ci, którzy usuwają lud, ile razy chodzi o sprawę Kościoła, która dzisiaj stała się przecież sprawą na wysoką skalę polityczną, zowią się głośno stronnictwem liberalno-narodowem. Prawdziwy liberalizm, przyznający każdemu prawo udziału w sprawach publicznych w téj mierze, w jakiej względem nich obowiązki pełni, nie zezwala na to, ażeby ktoś drugiemu sprawy publiczne wydzielał, do jednych go dopuszczał, a od drugich usuwał. Prawdziwe stanowisko narodowe szuka oparcia na narodzie zawsze i ciągle a nie tylko pod warunkiem pewnych okoliczności. Jeżeli mamy być liberalnymi i na-

rodowymi, to nie wolno nam przytłumiać potrzeb i pragnień ludu, ani téż ludu od spraw publicznych usuwać; jeżeli zaś sami lud usuwamy, to jesteśmy czemś inném a nie liberalnymi i narodowymi, — albo téż, jeśli nasze dążności są w istocie szczerze, to w takim razie musimy sobie powiedzieć, że przy dzisiejszej sytuacji nie wiemy, co począć z tém, cośmy na utrapienie własne przeczuli „stronnictwem liberalno-narodowém“.

Ten kierunek, głośny i silny, pragnący wciągnąć w swą kolój całą społeczność światlejszą, jest bardzo niebezpieczny, bo decydując się na rozdwanie sił naszych, staje się tém samém zaporą politycznego rozwoju ludu naszego; jest tém niebezpieczniejszy, że to się dzieje właśnie w chwili, kiedy naprzeciw intelligencji naszej wystąpił ze względu na polityczne stanowisko ludu naszego ks. Bismark — jako konkurent. W znanej mowie z dnia 9 lutego r. z. wypowiedział on *in nuce* cały system swój polityki dziś już się przeciw nam praktykującej; punkt zaś ciężkości téj polityki złożył w ludzie naszym. Wszystkie dotychczasowe rozporządzenia ministeryalne jak rejencyjne noszą wyraźne tego znamię. Punktem ich wyjścia jest ta myśl, ażeby lud nasz odsunąć od téj części społeczności naszej, którą ożywia świadomość tradycyi narodowej, prędzej, zanimby się sam w swym charakterze narodowym i politycznym poczuć zdołał. Ks. Bismark waży siłę wpływu naszej intelligencji społecznej na lud i stósownie do tego wydaje takie rozporządzenia, ażeby ich działanie było i silniejsze i szybsze, aniżeli działanie naszej intelligencji. Liczy on na to, że zanim my dobiegniemy naszym wpływem do ludu i ogarniemy go tak, ażebyśmy byli go pewnymi, rozporządzenia rządowe tak go obejmą, że wszelki nasz wpływ będzie sparaliżowany i na czas dłuższy bezskuteczny. Tém się téż tłumaczy ten pośpiech, ta bezwzględność rozporządzeń. Ks. Bismark nie daje

nam, czasu ani do zorientowania się, ani do namysłu, ani do praktycznego przeprowadzenia tego, co za stósowne obmyślimy.

I kiedy wśród takich okoliczności polityka Bismarka wypowiada wojnę duchowi, geniuszowi polskiemu, kiedy chce ubić w nas ducha, ażebyśmy jako żywe trupy polskie figurowali w statystyce państwowej pod nazwą *Staatsunterthane*, my, nie uwzględniając rozmiarów i broni tej walki, nie chcemy powołać wszystkich sił duchowych społeczności naszej i z umysłu przytłumiamy w niej uczucie religijne. Kiedy walka nam wypowiedziana zwraca się z całą siłą na lud nasz, my go nie powołujemy do pospolitego ruszenia, nie podsuwamy mu materiału publicznego, żeby się mógł w nim rozpatrzeć. Uchwalamy wprawdzie szumne rezolucye o „programie nieustającej obrony narodowej“, popieramy w pismach drugie rezolucye o potrzebie zebrań politycznych, — ale to są frazesy patryotyczne; — myśli, potrzeby tego nie czujemy, nie rozumiemy, bo gdyby tak było, to obecne zebrania wyborcze po powiatach byłyby musiały zupełnie inaczej wypadć.

Gdy więc rozważymy, co pod względem politycznego wykształcenia ogółu naszego czynimy i jak się na tę kwestyą zapatrujemy, musimy sami przyznać, że czynimy mało, że postępujemy fałszywie. Spór nasz wewnętrzny, dzieląc siły, odbiera naszym wyższym klasom zdolność do zbiorowej obrony; skutkiem tego te same klasy nie są zdolne do przewodniczenia warstwom średnim i niższym ani też do ich prowadzenia; skutkiem tego dalej, warstwy średnie i niższe, pozbawione opieki, jakiej potrzebują, nie mogą także wyrobić się na ów lud, na którym przyszłość naszą chcemy oprzeć. Lud ów przy naszym postępowaniu jest dla naszych klas wyższych jeszcze dotąd zawsze tylko wokabulą, a nie materiałem i siłą polityczną. Powołujemy się na niego, rozpisujemy

się o nim w paragrafach rozmaitych towarzystw, każemy mu protestować przeciw zarzutom ministeryalnym, przedkładamy mu petycye do podpisywania, wzywamy go, żeby sam petycye na własną rękę wysyłał, słowem żądamy od niego sumiennego pełnienia obowiązków obywatelskich, ale czyśmy sami, my żywa tradycya i intelligencya narodu, zdali sobie z tego sumienną sprawę, że te średnie warstwy nasze tak miejskie jak wiejskie, od pięciu wieków, jak Polska Polską była, nigdy nie były dopuszczone do udziału w sprawach publicznych, że pod tym względem do ostatnich chwil nie miały one żadnej przeszłości, żadnych stałych, wyrobionych pojęć, żadnej rutyny, żadnej wprawy? W obec takiego położenia program nieustającej obrony jest prawie mrzonką, chimerą, jeżeli się nie będziemy starali oprzeć tego programu na pewnych warunkach danych. Do tego zaś potrzebujemy zgody między klasami wyższemi i udziału warstw średnich i niższych w sprawach publicznych.

Takie jest powiązanie myśli wyrażonych w trzech rezolucyach, które podałem. Od zgody między klasami wyższemi zależy praca około politycznego kształcenia ludu, od udziału ludu zaś w sprawach publicznych zależy przeprowadzenie nieustającej obrony narodowej. Tak myśl, którą podniósł poseł Ignacy Łyskowski, znajduje swój punkt wyjścia w zgodzie tych klas, które społeczności naszej przewodniczą, a swą podstawę w pracy około ludu.

Tak nam też trzeba urządzić nasze sprawy celem wspólnej obrony — i punkt jej ciężkości złożyć w warstwach średnich tak miejskich jak wiejskich. Już wyżej powiedziałem, co i kogo przez średnie klasy rozumiem, tu więc tylko dodać mi wypada, że temi klasami należy nam się szczególnie zająć tak pod względem materalnym jak politycznym. One powinny stanowić siłę i podstawę społeczności naszej, jak ją wszędzie stanowią. Ich

nie zastępują nigdzie i nam nie zastąpią klasy wyższe, szlachta, intelligencya, które o tyle tylko polityczną rolę odegrać są zdolne, o ile się opierają na szerszych masach ludności czującej, myślącej, i działającej razem z nimi. Pod temi też tylko warunkami możemy przełamać konkurencyą polityczną, którą nam ks. Bismark z względu na lud polski w zaborze pruskim weale niedwuznacznie zapowiedział.

Polityka nasza powinna grawitować coraz bardziej ku ludowi, i w miarę, jak lud nasz będziemy wciągali do spraw publicznych, pozbywać się zwolna znamienia polityki szlacheckiej, klas wyższych, a przyjmować znamię ludowej. Zastrzegam się tu oczywiście przeciw wszelkim podejrzaniom ochlokracyi lub bezładnej demagogii. Polityka ludowa w tém rozumieniu, jak ją starałem się przedstawić, nie usuwa klas wyższych ani też nie odbiera im praw pierwszeństwa, jakie im się słusznie należą, owszém ona potrzebuje nie czasem samego uznania i pomocy, ale wprost udziału tychże. Polityka ludowa w tém rozumieniu daje naszej szlachcie, intelligencyi dopiero rzetelną podstawę akeyi obywatelskiej. Ta polityka zdejmie brzemień ofiar, które dotąd nasza szlachta ponosiła i ponosi, rujnując siebie bez widoków, ażeby sprawa powszechna znalazła w jej ofiarach dostateczne poparcie. Ta polityka wyzwoli naszą szlachtę i intelligencyą z tego fatalnego położenia, że w wszystkiém wszystkiém być musi, sprowadzi im nowe zastępy obywatelstwa, pomiędzy które będą mogły pracę wspólną podzielić i które chętnie pójdą za głosem braci doświadczonj, wypróbowanej. To oczywiście wypada tu podnieść, że nasze klasy wyższe nie mogą wywodzić prawa swego do przewodniczenia ogółowi z tytułu przywileju starszeństwa, dawnych zasług około narodu, ale jedynie z tytułu pracy, zasług własnych i swego stanowiska społecznego razem. Na to należy nam kłaść tém większy przycisk, bo nasze warstwy średnie mogą być politycznie ożywione jedyuie pracą

klas wyższych, a nie samym tylko wpływem ich dawniejszych zasług.

Taka polityka ludowa poprowadzi prąd narodowy, który dotąd wyłącznie klasy wyższe unosi, w kanały warstw średnich, a o to przy dzisiejszém zagrożeniu trzeba nam się koniecznie starać, bo tylko w ten sposób także możemy bronić warstw niższych przed zupełną germanizacją i utrzymać je w żywej spojni narodowej. W ten punkt godzi polityka ks. Bismarka, dla tego też usiłowania nasze głównie ku niemu powinny być skierowane. Ażebyśmy wszakże na tym punkcie utrzymać się mogli, potrzeba umiejętnej i systematycznej agitacji politycznej, a mianowicie podczas wyborów, podczas których kwestye polityczne najwięcej umysły interesują. Przechodzę więc do trzeciej części méj pracy, w której będę się starał podać niektóre wskazówki nad systematyczną agitacją polityczną, której potrzebę chciałem podnieść w rezolucyi drugiej.

Czytelnika zaś niechaj nie zraża to, że się tak długo rozwiódłem o naszych stósunkach, zanim przystąpiłem do właściwego przedmiotu. Proszę uwzględnić, że piszę nie rozprawę literacką, którą można symetrycznie ułożyć, ale artykuł polityczny, którego przedmiot autor jest zmuszony podać w téj formie, jak go w życiu znajduje.

### III.

Sprawa politycznego kształcenia ludności naszej była już poruszoną przed trzema laty przez *Gazetę Tor.* Radziła ona wówczas zawierzać po miastach towarzystwa polityczne, na którychby rozbierano sprawy państwowe i komunalne. Przeciw temu wystąpił *Dziennik Pozn.*, nie przyznając *Gazecie Tor.* pod żadnym względem racyi.

W Niemczech takie towarzystwa istnieją; w ostatnim czasie stronnictwo katolickie rozwinęło nawet pod

tym względem podziwienia godną czynność, pozakładawszy w wszystkich stronach katolickich liczne *Katholische Volksvereine*, które niezém inném nie są, jak tylko towarzystwami politycznymi. Mają one jedną i tę samą organizacją, jedną kierują się myślą, propagandą zaś swoją sięgają aż do ludu naszego w Górnym Szląsku i w skrajnych powiatach Prus Zachodnich.

Dla takich towarzystw nie ma u nas dostatecznych warunków nie dla tego, jakoby nasze średnie klasy mieszczańskie i wiejskie nie były zdolne do zainteresowania się sprawami politycznymi, ale dla tego, że w klasach wyższych brak nam ludzi zdolnych, którzyby umieli prowadzić takie towarzystwa. Z tych względów i dziś jestem przeciw towarzystwom politycznym i w rezolucyi wyżej wzmiankowanej polecałem zebrania polityczne, jako środek na czasie będący. *Dziennik Pozn.*, pisząc o owęj rezolucyi, poparł w zasadzie zgromadzenia, chciałby je wszakże widzieć w praktyce ograniczone na zebrania wyborcze, które się właśnie w tym czasie odbywają.

Pod tym względem podzielam zdanie *Dziennika Pozn.*, godząc się z nim zupełnie na to, ażeby zebrania polityczne ograniczyć przedewszystkiem na zebrania wyborcze. W każdym razie należy tylko wtedy je urządzać, kiedy ich potrzebę wywołuje jakieś faktyczne zajście. W chwytności okoliczności do urządzania zebrań należy być oględnym i lepij je rzadziej, aniżeli za często zwoływać, bo nie ma nic łatwiejszego, jak rozbudzić i rozgorączkować umysły, wprowadzić je mimowoli na tory fałszywe, na których pojęcia, zamiast się wyświecać i udoskonalać, toczą się w coraz większém zamieszaniu i nieładzie, tak że potem o ile łatwo lud popchnąć do demonstracyi, o tyle trudno użyć do rzetelnj i ciągłj akeji politycznej. Wtedy trudno także utrzymać potrzebną równowagę pomiędzy masami ludu, od którego można żądać szczerego, samowolnego udziału

w sprawach publicznych, ale nigdy krytycznego poglądu na nie, a intelligentną częścią społeczności, której głos przy normalnych stósunkach rozstrzygać winien o kierunku spraw publicznych. Dla tego téż w dalszém następstwie myśli okazuje się konieczna potrzeba, ażeby na każdym zebraniu czy to w dyskusyi, czy w dłuższym wykładzie bywał zgromadzonym wyjaśniony przedmiot, o którym mają swą opinią orzec.

Do powyższej uwagi należy mi jeszcze dodać kilka innych ogólniej, zasadniczej natury.

Przy naszym nieszczęsnym sporze, który dotąd niezakończony i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w coraz większych rozmiarach wzrastać będzie, ludność nasza, która dotąd nie brała czynniejszego udziału w sprawach politycznych, może być łatwo wystawiona na ten szwank, iż strony spierające się będą ją wyzyskiwały w swych własnych kierunkach. Obawa ta uzasadnia się tym fenomenem, że kiedy roku zeszłego mieliśmy wszelkie powody gromadzić lud na wiece, tośmy byli temu wprost przeciwni. Jeszcze przed trzema tygodniami, kiedy należało wzywać średnie warstwy na zebrania wyborcze, nikomu „nasz ludzek kochany“ ani na myśl nie przyszedł. Pano wie „mężowie zaufania“ poukrywali swe ogłoszenia prawie bez wyjątku jakoby z umysłu w jednym jedynym piśmie, ażeby wiadomość o zebraniach do szerszych kół wcale się nie przedostała. Na 27 okręgów dwie trzecie zebrań odbyło się przy udziale 7—50 wyborców. Na sześć, na których udział wynosił od 100—1000 blisko, trzy miały normalny przebieg, na trzech innych wystąpiły mniej lub więcej jaskrawo dwa stronnictwa. Zwołaliśmy zatem liczny zastęp wyborców z warstw średnich, wszakże nie bezinteresownie, mając za pobudkę raczej interes stronnicy, aniżeli onę myśl przewodnią, że w dzisiejszém położeniu należy warstwy średnie wciągać w życie publiczne. Dotychczasowe postępowanie nasze podczas ze-

brań wyborczych nie daje nam żadnej rękojmi, jakie stanowisko zajmiemy w obec ludu, czy stanowisko stronnice, czy téż interesu ogólnego, zbiorowego.

W tém kryje się tém większe niebezpieczeństwo, ile że dzisiejszy nasz spór podnosi uwydatniająco dążność stronnicyą a stanowisko interesu zbiorowego tłoczy na dół. Spór ostatnich lat dwóch zrujnował o tyle naszą opinią powszechną, że nie działa ona na wszystkich jedną siłą. Nasza prasa, na Księstwo zaliczna, jest w większej części z gruntu moralnie zdeprawowana. Faktem jest, iż są ludzie światli, dla spraw publicznych nieobojętni, którzy tylko z wielkim wstrętem biorą do ręki dziennik bez względu na to, jakiej nazwy. Aby wiedzieć, jak nasza prasa jest zdeprawowana, trzeba systematycznie z dnia na dzień czytać wszystkie artykuły, które się drukują ku rzekomemu zbawieniu naszej biednej społeczności. Mówię z doświadczenia, bo *non minima pars ejus sum*. Deprawacya prasy naszej oddziaływa demoralizująco na publiczność i deprawująco na opinią powszechną, która przy wytrawności i sile dodatniej jest wielkiego znaczenia. Opinia publiczna jest już u nas pod wpływem prasy tak osłabiona i zdeprawowana, że w razie potrzeby nie może sobie pozyskać umysłów ogólnych dla jakiegokolwiek prawie zbiorowej akcji. Od dwóch lat opinia nasza nie może lonieść żadnej zbiorowej myśli pożytecznej; każdą poroni. Przypominam tu Towarzystwo Oświaty ludowej, Bank Włociański! Zasadnicze pojęcia w naszej opinii publicznej zostały nadwerężone, porozbijane. Co znaczy u nas zgoda, solidarność, praca publiczna? Każdy tłumaczy to sobie według swego widzenia rzeczy. Stanowisko zbiorowe, stanowisko interesu ogólnego jest w opinii publicznej zrujnowane. Przy najlepszej woli zatem trudno nam nawet przystąpić do ludu bez nastroju stronnicego. Czy przy tych warunkach wszakże możemy dobrze i pożytecznie oddziaływać na szersze koła naszej ludności, jest rzeczą

bardzo problematyczną. Dobro pospolite, sytuacja nasza, nakazuje nam zbliżyć się do ludu w imię interesu zbiorowego a nie stronniczego. Pod tym tylko warunkiem praca około szerszych kół ludności naszej może nam przynieść pożądane owoce. Obecnie przecież znajdujemy się pod tym względem w drażliwym położeniu. Zdaje się zanosić na to, że siła, wehemencya sporu, któregośmy dotąd niezdolali przygłuszyć, uniesie nas po nad spokojny i obiektywny pogląd na nasze położenie, że każdy, co będzie chciał brać czynny udział w sprawach publicznych, będzie musiał decydować się na tę lub ową stronę i że wtedy choćby chciał, to nie będzie mógł inaczej zbliżyć się do szerszych kół ludności naszej, jak tylko z swego osobnego stanowiska. Na tej drodze znajdujemy się obecnie wszyscy. Sami gotujemy sobie taką sytuacją, nawiązując oburącz węzeł gordyjski, o którym nie wiadomo, czy my go rozwiążemy, czy go też ks. Bismark rozetnie. Fakt, jaki zaszedł w tych dniach na zebraniu wyborczém w Inowrocławiu, gdzie jeden z znanych w całym Księstwie i szanowanych kapłanów stawił znaną rezolucją wyborców poznańskich i rezolucya ta — oczywiście za przyczyną obywatelstwa wiejskiego — w obec zgromadzonych mieszczan i gospodarzy wiejskich usuniętą została, rzuca światło głęboko w rozpadlinę naszego sporu i daje bardzo wiele tak jednej jak drugiej stronie do namysłu. I warto, żeby się obie strony nad tém zastanowiły. Bo lud na sprawy publiczne jest wprawdzie wrażliwy, ale także i czujny i instynktem odgaduje prawdę, słusność. Lud ma swój sposób pojmowania rzeczy, swą logiką — i dumę, wszystkiego słuca, ale nie zawsze we wszystko wierzy; nasze przysłowie narodowe uważa „chłopski rozum“ za rozum nie najgorszy. Byłoby to wielkie złe, gdyby lud zmiarkował, że jest wyzyskiwany. Jeżeliby się zaś nasze sprawy domowe miały tak dalej układać, jak dotąd, tak że do ludu nie moglibyśmy się inaczej zbliżyć, jak tylko

drogą stronniczego stanowiska, toć obie strony, spór toczące, powinny sobie naprzód uprzytomnić perspektywę swoich widoków. Nie jest to zaś rzeczą wcale trudną. Kto umie jako tako politycznie myśleć, może sobie z obecnej sytuacji naprzód wyciągnąć rezultat, jak się wyjawia wyraz nieznan z arytmetycznego równania, w którym wszystkie inne wyrazy są znane. W sprawie tej idzie się na pewnego; — jakie tej konkurencji około ludu mogą towarzyszyć okoliczności, to oczywiście rzecz inna. Ci, którzy szczerze myślą o obronie sprawy narodowej i chcą użyć do niej szerszych kół ludności naszej, a na obronę tę zapatrują się z dwóch przeciwnych stanowisk, powinni wprzód rzecz głęboko obmyśleć, zanim w tym kierunku krok uczynią. Interes zbiorowy wymaga, ażeby, zanim przystąpią do ludu, podali sobie na wzajem ręce. Bez zgody ani jednego kroku na tém polu nie zrobimy. Dla tego też, wyrażając wyżej w kształcie trzech rezolucji, ściśle z sobą związanych, warunki programu nieustającej obrony, oznaczyłem rezolucją, w której mowa o potrzebie zgody, jako punkt wyjścia. Niechaj jednak nikt nie bierze tej zgody, jak to u nas jest w zwyczaju, za coś czułego, sentymentalnego; w tem nie ma żadnej czułości, sentymentalności, jestto prosta kombinacja polityczna, warunek politycznej natury, który wynika z naszego położenia. Przy zupełnej zgodzie los nasz jest jeszcze bardzo pożałowania godny; bez zgody zaś w zbiorowym działaniu jesteśmy poprostu śmieszni.

Na jedno jeszcze należy zwrócić uwagę. Nasza egzystencja pod berłem pruskim nie zależy tylko od pracy około rozbudzenia zmysłu politycznego, ale równocześnie od pracy około naszego bytu materialnego, który jest także zagrożony. W dwóch kierunkach zatem trzeba nam rozwijać usiłowania i to równo wyteżone. Stósunek jednej pracy do drugiej jest taki, że praca około bytu materialnego daje podstawę ruchowi politycznemu, atoli ruch

polityczny, mianowicie wyteżony, ma tendencją do szkody ruchowi ekonomicznemu. Dopóki nie było tak bezwzględnego ucisku narodowości naszej, wszystkie też nasze usiłowania były skierowane na to, ażeby w warstwach średnich podnieść dobrobyt i oświatę. W interesie naszym leżało, ażeby umysły ogółu pozostały w spokoju, byśmy na drodze prac społecznych mogli dalej postępować. Tymczasem zmiana polityki rządowej względem nas w roku zeszłym zmusza nas, ażebyśmy pukali do serc polskich ludu polskiego, budzili go z politycznego odrętwienia, by czuwał nad niebezpieczeństwem, jakie grozi narodowości jego. My dziś musimy zająć się ludem pod względem politycznym i wciągać go do spraw publicznych, bo inaczej nie usposobimy go do ciągłej czujności. Atoli ten ruch, odbiera umysłom spokój, rozgorączkowsywa i roznamiętnia je, zabiera wiele czasu, odrywa od pracy. Równowaga między temi dwoma kierunkami pracy jest więc niezbędną, ład, porządek jest kardynalnem prawem wszelkiej egzystencji społecznej,—atoli utrzymanie tejże jest rzeczą nader trudną, mianowicie wtedy, kiedy się mniej więcej pierwsze kroki na tém polu stawia. My Polacy mamy wielką skłonność politykować na rzecz publiczną kosztem własnej, prywatnej egzystencji, przyczém zapominamy o tém, że tak powiem, odwróconém prawie ekonomiczném, że w naszym położeniu egzystencya całości o tyle tylko jest zagwarantowaną, o ile każda jednostka téj całości stara się o utrwalenie swój własnej egzystencji. Mamy bardzo liczne przykłady w klasach wyższych, zamożniejszych, że obywatele poświęcający swą pracę i siły na usługi publiczne, zaniedbują interesa własnej familii i w końcu rujnują się zupełnie. Jakiż jest skutek tego? Otóż taki, że zrujnowawszy się, są niezdolni do zajmowania się sprawami publicznemi w pełném tego słowa rozumieniu, a społeczność traci w nich czasami bardzo dobre siły i prawie zawsze szlachetne charaktery. To samo

może się zdarzać i w średnich warstwach, skoro między nie przeniesiemy żywszą agitacją polityczną. Podnoszę z umysłu ten punkt, bo znani mi są tacy miejscy obywatele, którzy się całą duszą zajmują sprawami publicznymi ze szkoda własnej rodziny. Tygodniami, miesiącami czasem, nie pilnują swych interesów, warsztatów, swoich odbiorców obsługują jak najgorzej, cały czas zatrudnieni towarzystwami przemysłowemi, pożyczkowemi, teatrami, majówkami, obnoszeniem petycji i zbieraniem podpisów. Pracują dla społeczności, tylko dla własnych dzieci nie starają się o chleb powszedni. Upadek materyalny takich ludzi oddziałuje nadto bardzo niekorzystnie na warstwy średnie, bo wtedy w rezultacie ruchu politycznego przedstawia im się własna ruina,—co ich od spraw publicznych odstręcza. Dla tego też przy żywszym ruchu politycznym, jakiego dziś potrzebujemy, trzeba kłaść przycisk na tę równowagę pomiędzy ruchem politycznym a ekonomicznym, i wyraźnie ostrzegać szersze koła naszej ludności, ażeby jej interesa prywatne na tém nie szkodowały. Da się to osiągnąć przez stósowne urządzanie agitacji politycznej\*).

Jest to bardzo ważna kwestya i łączy się ściśle z systematyczną agitacją. Stan materyalny nadaje ruchowi politycznemu siłę i trwałość. Jeżeli mamy myśleć na seryo o obronie, to społeczność nasza powinna być na

---

\*) Skutkiem opóźnienia się Koła polskiego z mianowaniem Komitetu przedwyborczego, opóźniły się także zebrania wyborcze. Większa ich część przypadła w same żniwa. Na zebranie powiatu poznańskiego przybyło przeszło 30 gospodarzy, ale gdy mieli czekać do godziny 3 po południu, powracali do żniw.—Z Kościana doniesiono mi, że wybory trwające aż do 2 godziny w nocy zmęczyły ludzi i na drugi dzień prawie wszyscy byli niezdolni do pracy—a tu żniwa. Z dalszych okolic powrócili ludzie z Kościana dopiero o godzinie 4 rano. Takim rzeczom można w łatwy sposób zaradzić.

wskroś moralną, zdrową, jędrną — powinna pracować we wszelkich kierunkach. Proletaryat nie zastąpi nigdy potrzebnego zastępu obywatelstwa a proporca nieustającej obrony nie można podnosić na tyczce frazesu i złudzenia.

Po tych kilku uwagach pozwolę sobie nakreślić szkic systematycznej agitacji wyborczej, na podstawie której należałoby oprzeć nieustającą obronę naszych praw narodowych.

Agitacja ta powinna wychodzić od wyborców, zatoczyć koło do wybranych posłów i od nich wrócić na powrót do wyborców. Społeczność nasza winna przed aktem wyborów samych zorganizować się na zebraniach wyborczych w jeden zastęp, uprzytomnić sobie różnicę między stanem prawnym, w jakim się znajduje, a stanem, jakiego prawnie żąda, dać publiczny wyraz swój woli zbiorowej i w ten sposób oznaczyć swój stosunek do rządu. Tę zbiorową wolę należy w ścisłym i jasnym sformułowaniu zasadniczych żądań wyrazić. Treść jej stanowiłaby treść mandatu, jaki daje społeczność nasza swój zbiorowej reprezentacji sejmowej przez się wybranej. Posłowie, spełniwszy swój obowiązek, a zatem po upływie kadencji sejmowej, winni zdać sprawę wyborcom, o ile sejm, rząd uznał potrzebę stanu, którego społeczność nasza przez swą reprezentacją prawnie się od sejmu i rządu dopominała. W tém kole toczyć się powinna systematyczna agitacja, którą pozwolę sobie jeszcze szczegółowiej opisać, jak ją pojmuję.

Z rozpoczęciem agitacji wyborczej należy wezwać wyborców i to z wszystkich warstw do jak najliczniejszego udziału w zebraniach powiatowych, na których stawia się kandydatów do sejmu. Tu należy wyborcom koniecznie określić jasno swe stanowisko, swe życzenia i dać temu wyraz publiczny w jakiejkolwiek bądź formie. Wyborcy są prawnymi subjektami społeczności swój, którzy w jej imieniu stawiają życzenia i żądania w obec

rządu; oni dają posłom mandat, — więc to, czego żądają, to, na co mandat dają, powinno być aktem publicznym wyrażone. W ten też tylko sposób może dojść wyborca do publicznego wypowiedzenia swych życzeń i żądań i zamaniestować się w swym politycznym charakterze i w swém prawie. Jestto fałszywe pojmowanie rzeczy, jeżeli wyborcy zwalniają się sami od publicznego wyrażenia swój woli i w miejsce tego polegają na zaufaniu do przeszłych lub nawet przyszłych posłów. Publiczne wyrażenie woli wyborców, a ich zaufanie do posłów, są dwie oddzielne rzeczy, króre się nie wykluczają, ani znoszą, ale przeciwnie nawzajem warunkują. Jeżeli wyborcy mają mieć zaufanie do posła, to muszą być świadomi tego, co posłowi powierzają. Poseł zaś, jeżeli się ma wywiązać z zaufania w nim położonego, musi także wprzódy wiedzieć, czego odeń wyborcy żądają. Jedno i drugie potrzebuje zewnętrznego wyrazu.

Podczas obecnych zebrań wyborczych odzywały się nie rzadkie głosy, że wyborcom nie potrzeba określania stanowiska, że wystarczy zupełnie zaufanie, jakie mają do postawionych przez siebie kandydatów. I to jest mylne zapatrywanie, bo choć się w zasadzie nasze stanowisko ogólne nie zmienia, to od jednej do drugiej legislatury mogą zajść takie okoliczności, które téj lub owój kwestyi nadadzą większego znaczenia i społeczność winna być w każdym razie tego świadomą. Takiego znaczenia nabrała w czasie ostatniej legislatury np. sprawa Kościoła, i dla tego słuszną jest, żebyśmy na zebraniach, gdzie stawiamy kandydatom do sejmu, opinią naszą względem téj sprawy jasno wypowiedzieli.

Na zebraniach powiatowych mogą także wystąpić rozmaite zdania, przekonania, rozmaite polityczne zapatrywania i zasady, które się znajdują wśród społeczności. Przy pomocy prasy, oczywiście nie tak niezgodnej, jak nasza,

rozmaitość tych zdań może się wyrównać i przyczynić znacznie do wyświecenia ogólnej sytuacji.

Ważnym czynnikiem w ruchu wyborczym są delegaci. Potrzeba, ich zadanie znajduje uzasadnienie w naszych stosunkach. W innych krajach takich delegatów nie znają, każdy bowiem okręg urządza agitacją wyborczą na własną rękę i z wszelką niezależnością. Tęj niezależności okręgowej trzymają się nawet nasi Niemcy w W. Księstwie. Z względu jednak na to, że w wielu okręgach trzeba nam konkurować z Niemcami i dla tego unikać wszelkich kolizyj, któreby za sobą pociągnąć mogły stratę jakiego posterunku, delegaci tacy są potrzebni do bliższego porozumienia się względem wyboru kandydatów do sejmu. A że w ten sposób wyborcy zrzekają się istotnie prawa definitywnego mianowania swego kandydata i prawo to przelewają na całe grono delegatów, dla tego też delegaci powinni być świadomi stanowiska, z jakiego przystępują do mianowania kandydatów. W ich gronie zatem powinny się różnice zdań i prądów ku wszechstronemu, ile możliwości, zadowoleniu wyrównać tak, ażeby delegaci, przystępując do mianowania kandydatów, znaleźli się na tém stanowisku, któreby cała społeczność za swoje uznała. W gronie delegatów powinna się ostatecznie skryształizować zbiorowa wola społeczności, której także winien być nadany odpowiedni wyraz publiczny. Najstosowniejszą formą do wypowiedzenia tej zbiorowej woli byłaby może odezwa wydana do narodu przez Centralny Komitet wyborczy. W dzisiejszych czasach uważam podobną odezwę za bardzo potrzebną. W niej byłyby wyrażone w zasadzie życzenia i żądania, wola całej społeczności. Ona byłaby niejako zbiorowym mandatem dla Koła polskiego, a społeczność znalazłaby w niej równocześnie wyraz swój solidarności narodowej. W imię zasad i w obronie spraw wyrażonych w podobnej odezwie przystępowaliby wyborcy do urny, w imię tychże za-

sad i w obronie tychże spraw udaliby się nasi wysłańcy na sejm.

Atoli na tém jeszcze się nie kończy agitacya polityczna. Z konsekwencyi rzeczy wynika, że dając polecenia posłom, oczekujemy od nich wiadomości, zdania sprawy z tego, co uczynić zdołali lub nie zdołali. Bez téj wiadomości pozostać nie możemy, inaczej bowiem pierwsza część ruchu politycznego nie miałaby żadnej myśli, żadnego celu. Po co formułować życzenia, dawać mandaty, obdarzać zaufaniem, jeżelibyśmy nie mieli wiadomości, jak sejm i rząd nasze życzenia przyjęli. A jak publicznie manifestujemy naszą zbiorową wolę, tak też na téj samej drodze powinniśmy odpowiedź na nią odbierać. Dla tego sprawozdania posłów w obec swych wyborców są rzeczą konieczną, bo niezbędném uzupełnieniem całej akcji politycznej. Na zebraniach wyborczych oświadczają wyborcy, jakie stanowisko w obronie swych interesów zbiorowych zajmują w obec rządu; na zebraniach relacyjnych posłowie, którzy w imieniu wyborców bezpośrednio z sejmem, z rządem traktują, donoszą swym wyborcom, jakie stanowisko zabiera rząd w obec nas. Udział wyborcy w sprawach publicznych jest dopiero wtedy zupełny, jego interes w tychże dopiero wtedy zaspokojony, gdy odbierze od swego posła relacyą o tém, na co mu mandat oddał. Tak więc relacye poselskie wiążą się ściśle z całą organizacyą akcji politycznej.

Ponieważ nasi posłowie — z bardzo małemi wyjątkami — nie pełnią tego obowiązku, przeto pozwolę sobie w kilku słowach uwydatnić potrzebę i doniosłość relacyi poselskich.

Potrzebne one są ze względu, jak się wyżej powiedziało, na wyborców, którzy chcą szczegółowej wiadomości o tém, co się z ich życzeniami stało. Nadto w naszych stósunkach nie tylkoby one wyborców informowały, ale także budziły i rozgrzewały ducha wśród nich. Potrze-

One są one ze względu na posłów samych, którzy mają powód bliższego porozumienia się z wyborcami. Na tej drodze jedynie może się zawiązać bliższa zobopólna znajomość i pod tym też tylko warunkiem poleganie na zaufaniu do posłów mogłoby mieć sens jakiś. Przez bliższe zetknięcie się posła z wyborcami i wymianę zdań może się poseł wyrabiać na rzeczywistego męża publicznego i to w kierunku pewnych specjalnych spraw odnoszących się przeważnie do spraw językowych, szkolnych, religijnych, wewnętrznej administracji i t. p. Najważniejszy jednak wzgląd, dla czego relacje posłów są niezbędne, jest to, że tylko pod tym warunkiem może być nasza agitacja polityczna ciągłą i systematyczną. Pomiędzy jedną a drugą legislaturą sejmu, który w myśl rady posła Łyskowskiego mamy uważać za trybunał i przed nim co trzy lata od nowa wytaczać rządowi proces o nasze prawa narodowe, potrzeba jakiegoś przejścia, abyśmy wiedzieli, na czym się ten proces skończył w jednej, a od czego rozpocząć go w drugiej legislaturze. To przejście winny tworzyć relacje poselskie, któreby w sobie mieściły nie tylko sprawozdanie z sejmu ubiegłego, ale zarazem wskazówki do dalszej obrony na następnym sejmie. W ten sposób społeczność nasza miałaby ciągle uprzytomnione swoje stanowisko do rządu i rządu do niej.

Tak pojmowana systematyczna agitacja polityczna przebiegałaby koło swoje równocześnie z legislaturą sejmu, a w ciągu jej trzechlecia mielibyśmy dość wiele sposobności do urządzania zebrań politycznych.

Zebrania te dałyby się dwójako poklasyfikować:

- 1) na zebranie wyborcze, związane wprost z agitacją wyborczą, i
- 2) na zebranie okolicznościowe, wiążące się z sprawami na sejmach poruszanymi lub też z innych powodów nas dotyczącymi.

I. Zebrania pierwszego rzędu mogą być trojakie:

a) zebrania wyborcze powiatowe, na których wyborcy stawiają kandydatów. Na zebraniach tych powinien być ile możności jak najliczniejszy udział oprócz obywatelstwa wiejskiego tak mieszczan jak gospodarzy wiejskich. Ogólne stanowisko, jakie wyborcy w obec wyborów zajmują, powinno być zebraniem w dłuższej mowie albo w obszerniejszej dyskusyi wyłożone. Rzecz ta powinna być przez męża zaufania przygotowana: jeżeliby się mąż zaufania sam tego nie podjął, powinien kogo z świątłych obywateli dość rychło uprosić, ażeby ten mógł się dostatecznie przygotować do wyłożenia zgromadzonym, na jakim tle politycznym odbywać się będą wybory i z jakiego stanowiska mają się oni do nich zabierać. Przymioty kandydatów powinny tu być także przedyskutowane.

Na tych zebraniach indywiduum — jednostka powinna znaleźć dla siebie wyraz swych uczuć i życzeń sformułowanych w zbiorowej rezolucyi, ażeby w ten sposób każdy wyborca mógł bezpośrednio zmanifestować świadomość swego stanowiska w państwie pruskiem.

Na tych zebraniach powinny być także powiaty na okręgi wyborcze podzielone, ażeby naprzód przygotować organizacją do agitacyi wyborczej.

b) Na dwa lub trzy tygodnie przed terminem wyborów wypadałoby zwołać zebrania bezpośrednio po odezwie wydanej przez Komitet Centralny. Celem tychże byłoby ożywienie agitacyi wyborczej, ażeby przy wyborach był jak największy udział. Na nich mogą także okręgowi wyborczy składać sprawę z swych czynności agitacyjnych i udzielić wskazówek potrzebnych na dni ostatnie. Tych zebrań należałoby urządzić tyle, ile jest w powiecie okręgów, lub ile jest miast.

O ile na zebraniach pierwszych występuje jednostka w poczuciu swych praw, o tyle na tych uwydatnioneby było poczucie zbiorowej solidarności. To poczucie zaś

solidarności nie manifestowałyby się w mglistych pojęciach, w jakich się dotąd lubujemy, polegając na jakimś zaufaniu, które jasno i publicznie określić wzdragamy się, ale znalazłoby faktyczną i rzeczywistą podstawę w wypowiedzeniu życzeń i żądań w każdym pojedynczym okręgu na zebraniach powiatowych.

c) Do tego rzędu zebrań zaliczam także zebrania relacyjne, na którychby posłowie zdawali sprawę. Niezbędną ich potrzebę, jako ogniwa łączącego naszą akcją w czasie jednej legislatury z akcją przyszłą legislatury następnej, starałem się wyżej wykazać. Powinnyby one nastąpić bezpośrednio po zamknięciu sejmu — przed zebraniem powiatowem, dla którychby przysposobiły umysły wyborców o tyle, że zdałyby im sprawę, na czém się skończyła jedna legislatura i w jakim kierunku na podstawie tego podjąć pracę około dalszej obrony.

II. Do rzędu zebrań okolicznościowych zaliczyłbym zebranie zwoływane w sprawach lub przypadkach specjalnych. Do tych należałyby np. wiece protestujące, jakie się zeszłego roku odbywały, wiece katolickie, jakie *Kuryer* proponował, wiece szkolne, wiece zwoływane z powodu stawianych przez rząd projektów do prawa, których tendencya byłaby wymierzona przeciw naszemu interesowi narodowemu. Tak np. na początku roku tego wzywała *Gazeta Tor.* do wieców językowych, by protestować przeciw projektowi do prawa rugującego nasz język z stosunków publicznych; wreszcie należałoby zwoływać zebrania, ile razy chodziłoby o podpisywanie i wysłanie jakiej petycji, bo to rzecz nie koniecznie pochwałą godna, gdy podsuwamy ludziom arkusze do podpisu, nie pytając, czy mają wyobrażenie o tém, co podpisują.

III. Do systematycznej agitacji politycznej potrzeba prapagandy prasy. Na zebraniach publicznych jest zwykle rzeczą niepodobną, mówić o wszystkim tak szczegółowo, ażeby wszystkim wszystko było zrozumiałe.

Na takie zebrania publiczność powinna przychodzić przynajmniej o tyle przygotowana, ażeby poglądy i uwagi krytyczne mogła zrozumieć. Do tego mogą być szersze koła publiczności przygotowane jedynie przez prasę. Pod tym względem znajdujemy się także w bardzo krytycznym położeniu. Dzienników mamy za wiele, każdy zaś dziennik ma za mało czytelników, ażeby przedstawiać organ szerszego wpływu; skutkiem tego wpływ dzienników jest z jednej strony ograniczony i słaby, z drugiej jednostronny. Nie ma u nas także propagandy prasy, bo społeczność rozstrzelona, jeżeli popiera jakie dzienniki, to tylko w tym celu, by „liberalny“ ulokować w miejsce „ultramontańskiego,“ lub odwrotnie, tak że ogólna ich liczba pozostaje mniej więcej jedna i ta sama.

IV. Nadto należy wydawać popularne pisemka ulotne treści politycznej. O ile prasa winna uzupełniać zebrania publiczne, o tyle takie pisemka ulotne mogą uzupełniać prasę. Są kwestye, które się nie łatwo traktują w dziennikach, jak np. to, o czém mówił p. dr. Szuman na samym wstępie swego sprawozdania w Bazarze: co jest sejm, jaki jego skład, co jest Koło polskie, jaka jego organizacya. Są kwestye, dla których wyjaśnienia należy dać obszerniejszy, jasny i zaokrąglony pogląd, co także nie zawsze łatwo osiągnąć przez artykuł dziennikarski. W tym celu dadzą się popularne broszurki z wielką korzyścią użytkować.

Na tém kończę naszkicowanie systematycznej agitacyi wyborczej. Szkic ten podałem z umysłu w krótkiej, streszczonej formie, bo rzecz nie polega tu na obfitości lub rozwlekłości projektów, ale na rzetelnym, sumiennym i umiejętnym wypełnianiu obowiązków. W ruchu, w pracy tkwi tajemnica zdrowego życia. W jakim kierunku, pod jakimi warunkami dałaby się systematyczna agitacya polityczna przeprowadzić i o ile jesteśmy do jój podjęcia

obecnie przygotowani, o tém rozpisałem się obszerniej w pierwszych dwóch częściach niniejszej pracy.

---

Puszczając w świat rzecz powyższą, wiem dobrze, że u jednych znajdzie ona może względy, gdy w drugich wywoła niezadowolnienie. Taki los spotyka wszelką pracę dotykającą kwestyi politycznych. Wypowiadając szczerze i otwarcie moje przekonanie, mam jedno tylko życzenie, którém kończę, ażeby praca ta zdołała pobudzić ludzi myślących do głębszego zastanowienia się nad stanem naszym w chwili, kiedy społeczność nasza, w swych podstawach podważona, zaczyna się toczyć w kierunku, o którym dotąd nikt z nas jasnej sprawy zdać sobie nie umie.

---



34865/  
12.

~~~~~  
Drukiem J. Leitgebera w Poznaniu.  
~~~~~



3